/ 46

PRZEŻYLIŚMY

GROSS*ROSEN

GROSS-ROSEN 1940-1945 ROGOŻNICA

KLUB b.WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH

9
Inhaft
GRO-R
18
Bd.2:Heft 4

TOM IV

Zeszyt 4

„Wir überlebten „Gross-Rosen"
Gross-Rosen 1940-1945 ROGOŹNICA

Klub der Politischen Häftlinge

Band II Filialen des KL's
Heft 4 „Groß Rosen"
Kommando GABLONZ
Herausgeber: ZBOWiD - Verband
(Historische Kommission des Kreises
„Groß-Rosen") Warszawa 1986

ITS
Internationaler Suchdienst
Bibliothek ~~PINHAFT GR-R 23. Bd. 2, Heft 4~~

PRZEŻYLIŚMY GROSS-ROSEN

Tom II Filie obozu koncentracyjnego
Gross-Rosen

Zeszyt 4 Kommando Gablonz

Na prawach rękopisu

Związek Bojowników o Wolność i Demokrację
Dzielnica Warszawa-Śródmieście - Koło Nr 1
ul. Wiejska 11, 00-480 Warszawa tel.296943
Komisja Historyczna Środowiska Gross-Rosen

Warszawa 1986

Zespół Redakcyjny:

Zofia Doboszyńska, Halina Dudowa, Feliks Kidawa, Witold Kulisiewicz - kierownik Redakcji, Mieczysław Mołdawa, Roman Olszyna, Zdzisław Rałł, Andrzej Romanow, Feliks Sikora, Henryk Uchman - sekretarz Redakcji, Juliusz Zagórski, Kazimierz Zamojski

przy współpracy: Tadeusza Bernego /Wrocław/. Kazimierza Bucholskiego, Michała Czebłakowa, Romana Gierka /Oborniki/, Jadwigi Gromadzkiej, Adeli Kiss-Orskiej, Romana Konarzewskiego /Poznań/, Stanisława Korby /Kielce/, Jana Kosińskiego i Mieczysława Kwietnia /Lublin/, Stanisławy Kożuchowskiej, Henryka Króla /Jelenia Góra/, Stanisława Kuczewskiego, Marii Malec-Więckowskiej, Alojzego Nowickiego /Inowrocław/, Bronisława Rudyka, Władysława Walczaka /Kalisz/, Lucjana Stefańskiego, Bogdana Wierzejewskiego, Piotra Wojciszewskiego, Julii Wroczyńskiej

Projekt okładki: Włodzimierz Kern

Dom Słowa Polskiego, Warszawa
Zam. 166/K/87. P-47. Nakł. 1000 egz.

SPIS TREŚCI

	str.
Henryk Uchman - Byłem więźniem komanda Gablonz	7
Adam Grząski - Wspomnienia sanitariusza z rewiru w Gablonz	25
Stanisław Korba - Ze wspomnień o komando Gablonz	37
Stanisław Kuczewski - Wspomnienie z okupacji	43
Eugeniusz Ruszkowski - Z Hartsmandsforf do Gablonz	47
Zdzisław Makowski - Moje wspomnienia z obozów koncentracyjnych Mauthausen, Gusen, Gross-Rosen i Gablonz	51
Jerzy Kądzielowski - Z życia na bloku w Gablonz	65
Czesław Reszko - Przeżyłem komando Gablonz	67
Tadeusz Hercog - Z Mauthausen do Gablonz	71
Henryk Uchman - Spis więźniów komando Gablonz według niepełnych danych archiwum środowiska	73

DO REDAKCJI

Prezentujemy wspomnienia więźniów Komanda Gablonz, wszystkie jakie aktualnie zgromadziliśmy w archiwum środowiska warszawskiego byłych więźniów Gross-Rosen. Część tych autorów już zmarła i nie można od nich uzyskać bardziej szczegółowych danych. Jednak w oparciu o te dane możemy ustalić pewne zbieżne fakty.

Na podstawie relacji Stanisława Korby, który przybył do Gross-Rosen dnia 3 listopada 1944 roku, a odjechał do Gablonz po około 10 dniach, ustalić można prawdopodobieństwo, że transport do Gablonz odjechał około 15 listopada 1944 roku. Potwierdza to relacja Adama Grząskiego i Henryka Uchmana. Przypuszczalną ilość więźniów w pierwszym transporcie określa się na 500, choć inni podają na 600, a nawet więcej. Prawdopodobnym jest jednak, że transport liczył około 500 osób, jak podaje Adam Grząski.

Nikt też nie pamięta ilości załogi esesmańskiej, jednak w każdym wagonie było 2 postów, a więc przyjąć można orientacyjnie, że obsada wartownicza liczyła conajmniej 15-tu żołnierzy.

Lagerführer Sanger mieszkał w górnej części budynku, gdzie był obóz więźniów i mało był znany więźniom w odróżnieniu od Blockführera Paula Fabera określanego przez więźniów "pięć-dwadzieścia", gdyż najczęstszą wymierzaną przez niego karą było 25 batów, nawet za drobne przewinienia.

Drugi Lagerführer /nazwisko nie zapamiętane przez nikogo/ mieszkał z żoną też w wydzielonej części budynku dla więźniów na piętrze. Jego zapamiętali więźniowie jako człowieka wyrozumiałego na ich cierpienia.

Na przykład Eligiusz Grodzki wracając późnym wieczorem z ubikacji ciemnym korytarzem, zderzył się z osobą, której w ciemnościach nie widział. W parę sekund rozpoznał przed sobą Lagerführera w mundurze esesmańskim. Przepraszał jak umiał, trochę po niemiecku, więcej po polsku, że nie widział nikogo /podświadomie spodziewając się rychłej śmierci/, a tymczasem Lagerführer poklepał go po ramieniu i kazał iść spać.

Henryk Uchman w swoim wspomnieniu opisuje przypadkowe spotkanie w ciemnym korytarzu z żoną Lagerführera, która zamiast się przestraszyć i krzyknąć, dała znak aby zaczekał, dała mu kawałek chleba i nakazała milczenie.

I wreszcie pamiętają więźniowie jego przyjazd po objęciu funkcji Komendanta obozu, zaznaczony lepszym obiadem, a w przemówieniu do nas powiedział, że ma obowiązek pilnowania nas, a my mamy obowiązek pracy. Że jego dążeniem jest staranie o zmniejszenie naszych cierpień w niewoli. Pamiętają również więźniowie i ostatnie chwile przed wolnością.

Zbrodnie dokonywane na więźniach w rewirze opisane przez Adama Grząskiego i wspomniane tylko przez niektórych - były postrachem całego obozu.

Załączona lista 180 więźniów tego Komanda jest tylko cząstką odtworzoną z relacji tych więźniów którzy przeżyli obóz. Były przecież transporty uzupełniające stan, przyszły transporty ewa-

kuacyjne z innych Komand np.: Hartmansdorf, Hirschberg, odchodziły transporty np. do Buchenwaldu przez K-do Reichenau i do Reichenau do pracy w Baukolone.

Na podkreślenie szczególne zasługuje przyjaźń nawiązana z Kombatantami-partyzantami czesko-słowackimi i ludnością miast Tanvaldu, Rynovic, Jablonec n.Nysą i Żeleznego Brodu z wyzwolonymi więźniami z Polski.

Wyzwolenie w Tanvaldzie, pierwsza pomoc lekarska w szpitalu Żeleznego Brodu zachowały się głęboko w pamięci więźniów. Prowadzone od pierwszych lat kontakty indywidualne, korespondencyjne i osobiste wizyty - pojedyńcze i zbiorowe, autokarem - organizowane przez klub b.więźniów Gross-Rosen w Warszawie utrwaliły tę przyjaźń.

Współpraca z Kombatantami OV CSPB w Jablonec umożliwiła nam uzupełnienie wydanego zeszytu o Gablonz zdjęciami z filmu wykonanego w pierwszych dniach wolności. A takich chwil nie zapomina się do końca życia.

Dalsze relacje żyjących jeszcze więźniów mogłyby pomóc w ustaleniu dalszych faktów dotyczących Komanda Gablonz.

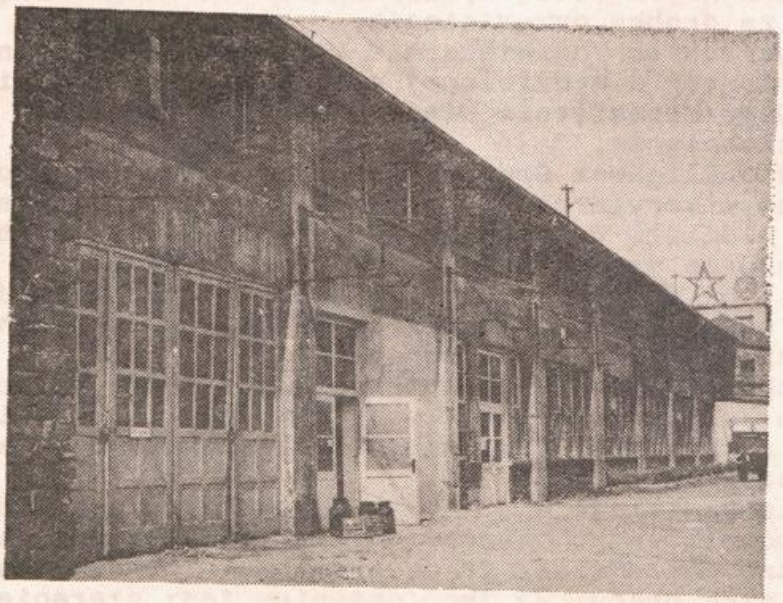

W tym budynku na górnej kondygnacji zlokalizowano obóz Gablonz. Wszystkie okna były okratowane, a poniżej na wspornikach ogrodzenia z drutu kolczastego, uniemożliwiające wyskoczenie z okna. Na dole miaściły się pomieszczenia dla załogi esesmańskiej i stołówka dla nich. Wejście do obozu więźniów było na końcu budynku od strony widocznej w głębi fabryki. Stan budynku z 1978 r.

Foto archiwum Gross-Rosen 3.1.1.13.

Henryk Uchman
P - 59759

GDY BYŁEM WIĘŹNIEM KOMANDA GABLONZ

1. Podróż. Kilkadziesiąt godzin trwała nasza podróż. Z Gross-Rosen transport odbywał się koleją w towarowych zakrytych wagonach. Pociąg ten składał się z siedmiu wagonów. Pierwszy był przeznaczony dla Komendantury i starszyzny obozowej oraz bagażu konwejentów, w pozostałych 6 wagonach po około 80 osób ulokowano więźniów dodając do każdego wagonu po dwóch konwojentów. W naszym wagonie nie było bardzo ciasno. Można się było poruszać, nie było miejsca aby wszyscy mogli siedzieć. Staliśmy, ale jak na konwój obozowy warunki były znośne.

Konwojenci siedzieli lub stali przy uchylonych drzwiach i pozwolili nam śpiewać.

Spiewaliśmy wszystko, co kto pamiętał. Śpiew ten przynosił mi ulgę i zapomnienie, a nawet wprowadzał w uniesienie. Rozpoczynałem śpiew coraz to nowej pieśni, wszystkie znane harcerskie, piosenki kabaretowe, patriotyczne, o Warszawie i w ogóle co się zapamiętało. Była już noc. Stałem niedaleko drzwi pędzącego pociągu, przy których stali konwojenci i po jakiejś pieśni poczułem,że żołnierz wpycha mi w rękę chleb. Myślałem, że śnię. Bałem się otworzyć dłoni - lecz spróbowałem i przekonałem się, że chleb jest dla mnie. Może któryś z konwojentów znał treść pieśni i jakieś wspomnienia nasunęły mu myśl wynagrodzenia inicjatora śpiewu. A może i innym rozdał trochę chleba? Tego nie wiem, bo nie przyznałem się nikomu, a ćwiartką chleba podzieliłem się z najbliżej stojącymi.

W każdym razie zaliczam to zdarzenie do niezwykłych.

Pociąg nasz jechał, zwalniał, zatrzymywał się na dłuższych postojach, nim zajechał do celu, zatrzymując się na bocznicy towarowej w Gablonz. - to obecnie miasto Jablonec n. Nysą. Dalej pieszym marszem dotarliśmy do obozu położonego w miejscowości Reinowitz - obecnie w Sudetach Czeskich Rynovice . Jeśli przyjąć dobrą pamięć kolegi Adama Grząskiego, to z pociągu wysiedliśmy w trzecim dniu podróży. Dokładnej daty nikt nie pamięta, jednak przypuszczam, że transport nasz odjechał z Gross-Rosen 13 listopada, a do obozu w Gablonz dotarliśmy 15 listopada 1944 roku.

2. Gablonz. Przybyliśmy do nowego obozu. Budynek, w którym zamieszkaliśmy był barakiem ze ścianami murowanymi, dach konstrukcji drewnianej o sklepieniu łukowym. Niedaleko stał budynek fabryczny, a ścieżka z baraku do fabryki była ogrodzona siatką. W fabryce filia Zakładów ZEISSWERKE z siedzibą w Jenie - produkcja dla przemysłu zbrojeniowego Niemiec.

W zasadzie cała załoga pracowała w fabryce na dwie zmiany : nocna i dzienna po 10 godzin. W bloku pozostawali tylko funkcyjni. Do nich się zaliczali: Küchekapo - Niemiec i jego pomocnik Rysio z Warszawy, blokowy Szasza - Ukrainiec , sztubowy Tadek oraz kilku

należących do policji obozowej, lekarz na rewirze też Polak i sanitarłusz Adaś ze Lwowa. Był również kapogłówny - Niemiec, który odpowiadał za nas w czasie pracy. Funkcję schreibera pełnił Czechosłowak Vlasta.

W bloku naszym mieszkał również lagerführer z rodziną. Esesmani mieszkali i mieli stołówkę w dolnej części baraku, my byliśmy na kondygnacji górnej. Spaliśmy na pryczach piętrowych.

Niedaleko od naszego obozu był obóz kobiecy, jednak kobiety w naszej fabryce nie pracowały. Raz wypadła na mnie kolej zaniesienia do nich kadzi z zupą i wtedy widziałem. Myślę, że z naszego komanda otrzymywały jedzenie. Nie udało mi się z nimi pomówić. Widziałem ich wychudzone sylwetki, jakieś nędzne szmatki suszone na sznurach.

Obóz kobiecy założono już zimą. Gdy dotarły nie wiadomo skąd ewakuowane / może z Auschwitz/ były bardzo utrudzone. W naszym obozie otrzymały kąpiel i pomoc sanitarną. Prawdopodobnie były to Żydówki z wielu krajów.

Komando było nowo powstałe, liczyło 500 więźniów. Z personelu fabrycznego można było się zorientować, że pracuję tam jako pracownicy cywilni Niemcy i Czechosłowacy. Było również biuro konstrukcyjne i biuro zarządu fabryki. Piętrowy biurowiec mieścił się w części hali fabrycznej; przez oszklone ściany można było obserwować całą fabrykę.

Ja pracowałem w zespole frezarek. Pamiętam, że od wejścia głównego do hali był zespół wiertarek / 10 maszyn /, dalej zespół frezarek / 10 maszyn /, później szły heblarki i piły, dalej tokarki.

W fabryce pracowaliśmy na dwie stałe zmiany. Na zmianie nocnej rozkład był następujący: wieczorem marsz do fabryki, o godz. 24 przerwa pół godziny na posiłek - zjadaliśmy kolację tj. chleb i kawę, a po przyjściu do obozu po skończonej pracy /o godz. 6 rano/ śniadanie. Później zajęcia obozowe i spanie. Obiad zjadaliśmy w obozie. Zmiana dzienna tym się różniła, że obiad zjadałem po powrocie z fabryki.

Biorąc pod uwagę nasze osłabienie na skutek niedożywienia, złych warunków mieszkania, braku odpoczynku i nadmiernej pracy - w niedługim już czasie zaczęło ubywać ludzi. Jeszcze nie był przygotowany rewir, a już pod ścianami układaliśmy chorych kolegów.

Pracą w fabryce w zasadzie regulował majster. On ustawiał maszyny i części do obróbki, on dawał wskazówki. Esesmani którzy mieli nad nami nadzór, zamykali drzwi fabryczne i nudzili się pilnując nas podczas pracy. U majstra była marka na wyjście do ubikacji, mógł ją dostać tylko jeden na 20 ludzi. W ubikacji stał więzień, który pilnował szybkiego załatwienia się. Nazywaliśmy go szajskapo. Na naszej zmianie był to wysoki Rosjanin - dla mnie nawet pobłażliwy.

Majstrów na dziale frezarki mieliśmy dwóch. U nas byli Czechosłowak i Niemiec. Ich zmiany inaczej wypadały niż nasze. Niemiec wyznaczył na tłumacza Jopka z Czeladzi, który biegle znał niemiecki. Z pracujących na frezarkach współtowarzyszy pamiętam Jurka Sitko i Wojtka Moteła. Poznałem go już wcześniej, gdy jechaliśmy z obozu w Pruszkowie w jednym wagonie do Gross-Rosen. Był z nim wtedy brat Tadeusz. Wojtuś został jednak rozdzielony z bratem i przyjechał do Gablonz, a brat Tadeusz wysłany został na inne komando, jak się później okazało do Leitmeritz.

Wojtuś był chłopcem zasługującym na zaufanie. Brał udział w Powstaniu Warszawskim jako harcerz. Podobnie jak ja umiał opano-

wać żądzę głodu. Był ambitny i nie nadskakiwał o dolewkę, co mnie jeszcze bardziej dla niego zjednało.

Majstrowie wymagali od nas dokładnej roboty. W fabryce było ciepło, więc w porównaniu z pobytem w Gross-Rosen warunki były dużo lepsze. Jednak te 10 godzin przy świetle lamp elektrycznych dawało nam się we znaki. Walczyliśmy z sennością i osłabieniem, często chwytając się korpusu maszyny. Z ulgą przyjmowaliśmy ryk syreny zwiastującej przerwę na zjedzenie posiłku. Wyłączaliśmy wtedy maszyny, a w hali zalegała cisza. Podczas przerwy esesmani zapędzali nas wszystkich do ubikacji, kolejno więc wychodziliśmy dostając pajdkę chleba i kawę. Ponowny ryk syreny oznaczał rozpoczęcie pracy i zaraz słychać było już normalny rytm hal fabrycznych. O 6 rano opuszczaliśmy fabrykę mijając po drodze do obozu zmianę dzienną. Wracaliśmy ponownie pod władzę lagerführera, blockführera, blokowych i jeszcze o niższej, ale za to bardziej dokuczliwej władzy obozowej. Myślało się w drodze powrotnej czy będzie odwszawianie, czy nie zrobią apelu kontrolnego, czy nie podpadnie Szaszy, czy, czy ...

4. Organizacja sabotażu. Uzgodniliśmy z Wojtkiem, że w fabryce starać się dokładnie pracować to znaczy to samo, co zdradzić. Więc po zastanowieniu obmyśliliśmy pewne formy sabotażu, które nie powinny mieć charakteru masowego, lecz stopniowo narastającego.

Postanowiliśmy zwiększyć ilość braków frezowanych odlewów. Drugą formą było psucie frezów. Ze względów konspiracyjnych nie wtajemniczaliśmy nikogo więcej z pracujących na frezarkach na tej zmianie, ale później przystąpił do akcji kolega na drugiej zmianie /dziennej/ był to Jurek Sitko - harcerz z szarych szeregów, brał udział w ruchu przeciwko okupantowi.

Ostrożnie w rozmowach z zaufanymi podsuwaliśmy te możliwości kolegom z wiertarek, z tokarzami /Piechna i Dzierżanowski/. Nawiązaliśmy kontakt z wydziałem elektrycznym - /tajnym/ - Janiszewski, na rewolwerówkach: Makowski, Karpiński, Grodzki. Jak się okazało wielu więźniów których nazwisk nie znam przyjęli ten system pracy.

Frez ustawiał do obróbki pierwszej sztuki osobiście majster. Zrozumieliśmy, że jest pewna tolerancja ilości materiału zepsutego. Więc korzystając z tego, braki przy naszych frezarkach stale się zwiększały, tym bardziej, że kontrola materiału nie odbywała się natychmiast, tylko majster od czasu do czasu sprawdzał wymiary obrobionych sztuk. To samo dotyczyło frezów. Czasami wymieniałem na jednej zmianie 2-3 frezów. Wydawało nam się to dużo.

Pamiętam, że w narzędziowni magazynier, który wydawał nowe frezy był Czechosłowakiem i przez częste kontakty przyzwyczaił się do mnie i do Wojtka. Za każdym razem robił do mnie oko i pobłażliwie się uśmiechał.

Przypuszczam, że majster Czech też domyślał się powodów naszej nieumiejętności, ale nigdy nam nie zwrócił uwagi, nie zganił, nie poskarżył Niemcom. Dotyczyło to większości majstrów Czechosłowaków na innych działach na przykład na rewolwerówkach.

To samo stosowaliśmy na zmianie majstra Niemca. Ten bardziej zaczął nas pilnować szczególnie przy zmianie nowego modelu. Mimo to konsekwentnie psuliśmy odlewy tak jak na zmianie Czecha, tłumacząc się nieumiejętnością, brakiem zdolności lub zmęczeniem. Jopek, nasz tłumacz, dostał później opaskę kapo. Zaczął uważniej nas pilnować, kontrolować ustawienie maszyny w czasie pracy i podpatrzyłem, że dostawał od majstra Niemca chleb przynoszony z domu. Natychmiast ostrzegłem kolegów przed bystrością Jopka, który stawał się coraz bardziej agresywniejszy. Pewnego razu uderzył Wojtka

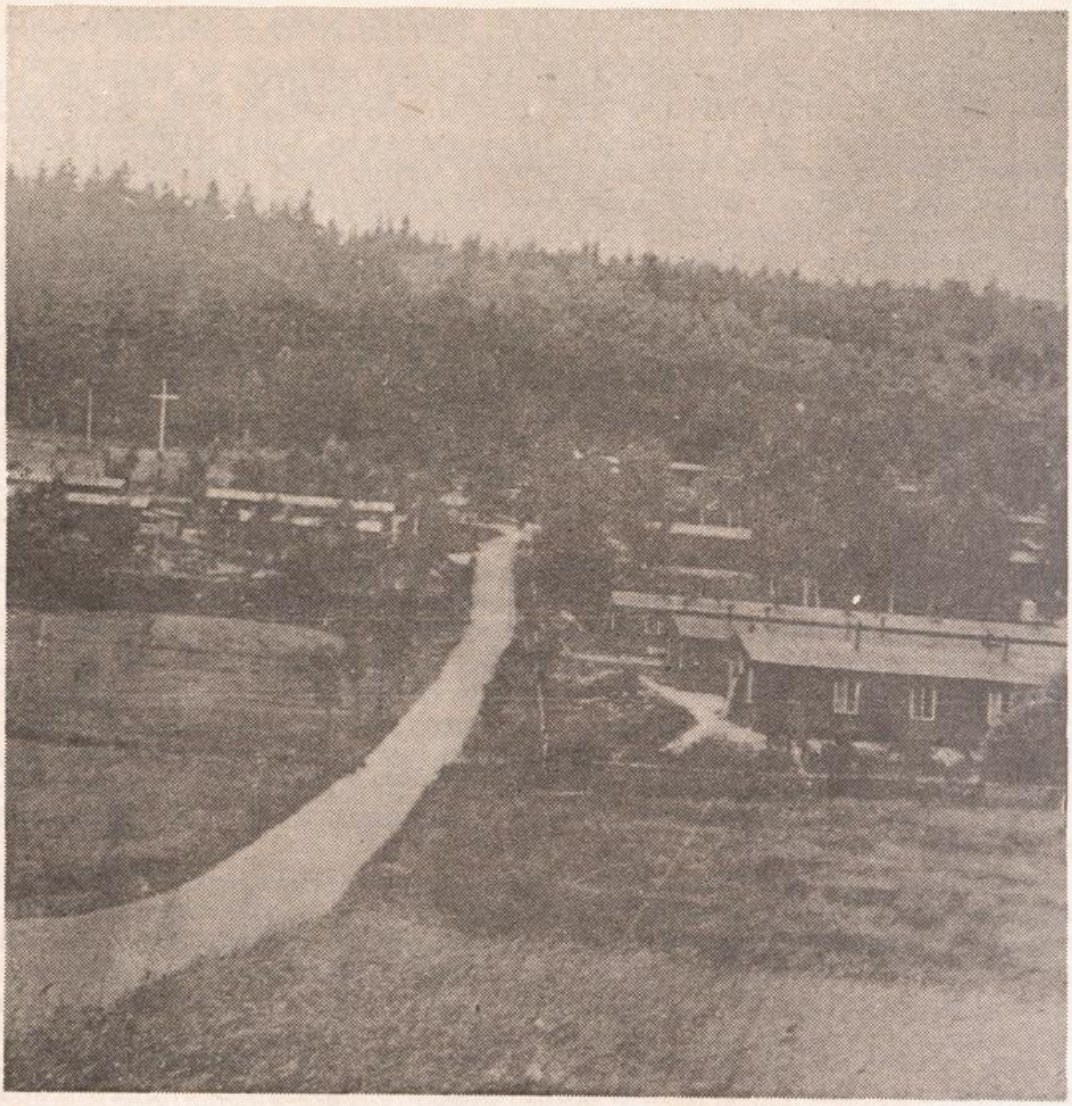

Panorama okolicy obozu. Z prawej strony od drogi widocznej pod lasem dach budynku, w którym był obóz Komanda Gablonz. Z lewej strony drogi pod lasem stoi biały krzyż z drzewa brzozowego. W tym miejscu są pochowani więźniowie obozu, po ekshumacji z mogił tymczasowych rozrzuconych pod lasem, gdzie byli grzebani zmarli więźniowie w czasie niewoli. Zdjęcie wykonano prawdopodobnie w 1945 roku zaraz po zabraniu zwłok do wspólnej mogiły.

Foto archiwum Gross-Rosen 3.1.1.14.

za zepsucie dużej ilości odlewów, Wojtęk dużo słabszy, z impetem potoczył się na frezarkę i przypuszczam, że pękły mu żebra, bo stale już się skarżył, że go boli.

Ja nierozważnie od razu zareagowałem i choć Jopek był wysokiego wzrostu podskoczyłem i uderzyłem go w twarz. Cios mój nie mógł być silny, ale sam fakt uderzenia przeze mnie musiał go zaskoczyć bo mnie nie uderzył, choć był kapo. Prawdopodobnie się zląkł, bo wszyscy koledzy zwrócili na niego wyczekujący wzrok . Dał mi spokój /chwilowo/, a na Wojtka już więcej ręki nie podniósł. Mimo to, jak się później dowiedziałem Wojtek Mozel wolności nie doczekał. Został pochowany w Morawskiej Ostrawie na Żabińcu.

5. Nastroje świąteczne. Święta Bożego Narodzenia spędziłem w komando Gablonz. Niemcy i dla więźniów zorganizowali choinkę. Duży świerk wyrąbany w lesie stał na naszej sztubie. Zamiast cukierków i innych bakalii pozawieszał küchekapo surową marchewkę, kawałki brukwi, kromki chleba, a więźniowie sporządzili z odpadkowego papieru jakieś przybrania i choinka stała. Dziwna rzecz, ale nikt z niej nic nie ściągał.

Dopiero po świętach padł rozkaz rozebrania choinki. Była to zabawa dla esesmanów i starszyzny obozowej, jak więźniowie utworzyli kłębowisko ciał rozdrapujących pozawieszane "specjały".

Wieczór wigilijny urozmaiciliśmy występem chóru amatorskiego, śpiewaniem kolęd.

Znaleźli się wreszcie i tacy, którzy zaimprowizowali występ artystyczny.

Nastrój był wzniosły, ale rzeczywistość szybko nas sprowadziła w realia obozu. Myśli nasze powędrowały do rodzin oddalonych. Jak spędzają święta w Warszawie, spalonej i znękanej. Gdzie są teraz moi rodzice. Matka była chora. Czy brat Lolek wywieziony do Oświęcimia wie, że i ja jestem w obozie? Jak żyje i gdzie teraz przebywa moja żona z córeczką Krysią? Kiedy mnie zabierano z domu był obecny ojciec i jeszcze kilka osób, które przechowywaliśmy. Czy i ich wywieźli? Czy się z nimi jeszcze zobaczę? A jak sobie radzi mój brat Marian, którego wypuścili z Radogoszczy przez starania łódzkiej organizacji podziemnej i ukrywał się na terenie podwarszawskim. Czy uda mu się przetrwać tę zawieruchę? To zapewne były myśli i zapytania nie tylko moje lecz każdego z nas. W ciągu tych kilku miesięcy przeżyłem tyle niebezpieczeństw, utrudzenia, chorób, niepewności losu, że moja przeszłość wydawała się jako bardzo odległa, a powrót nieosiągalny.

Wspominając swoich bliskich poznawaliśmy się wzajemnie i rodziny, których nigdy nie widzieliśmy osobiście, a uważaliśmy je za swoje własne.

Przy takich okazjach jak święta, a i w ogóle w każdym wolnym czasie, nawet po posiłku szybko zjedzonym byli amatorzy tematów kulinarnych. Opowiadali jakie pieczywa wypieka jakaś piekarnia, pieczywo świeżutkie , ciepłe, pachnące i chrupiące. Jureczek z Warszawy opowiadał jak jego mama przyrządzała przystawki na przyjęcie gości. Smakowicie wyglądały jajka gotowane na twardo udekorowane na muchomorki na łączce. Szczegółowo poznaliśmy technikę tego dania; kapelusze były z pomidorów, posypane siekanym żółtkiem, a stały na półmisku w majonezie przybranym szczypiorkiem zamiast trawki. Jurek, młody chłopiec z Warszawy tęskniąc do matki stale mi o niej opowiadał.

Był też jeden maniak, który tworzył teoretycznie różne potrawy i każdemu o nich opowiadał. Chwalił się, że po wojnie wyda książkę kucharską.

6. Higiena, która zabija. W każdą niedzielę rano kazali nam prać pasiaki i bieliznę. Pranie ograniczało się do zamoczenia w wodzie, gdyż żadnych innych dodatków nie otrzymywaliśmy. Takie pranie nie usuwało brudu i wszy.

Kiedy ubranie było jeszcze mokre nie wysuszone - blockführer zarządzał alarm i wszystkich nas wyprowadzał na spacer. Była zima, spacer bez względu na mróz polegał na maszerowaniu jeden za drugim w koło, ze śpiewaniem pieśni obozowych w języku niemieckim. "Góralu czy ci nie żal" było wyjątkiem i śpiewaliśmy po polsku, bo Blockführer bardzo tę piosenkę lubił. Myśmy maszerowali, a ubranie sztywniało na mrozie. Po godzinnym spacerze mieliśmy już wszyscy dosyć śpiewu. Blockführer w oficerkach i wełnianych skarpetach w mundurze i płaszczu asystował nam na spacerze, ale my w drewniakach na bosych nogach, w mokrej bieliźnie i ubraniu musieliśmy płacić przeziębieniem, a często zapaleniem płuc lub gruźlicą. Po przyjściu na blok mogliśmy ubranie dosuszyć podczas odwszawiania. Czystość nawet najbardziej przez nas przestrzegana, nie mogła zniszczyć wszy. Ich siedlisko i wylęgarnia mieściła się chyba w kocach, bo pranie bielizny i ubrania nic nie pomagało. Koszule przy przeglądzie kilkugodzinnym były bez wszy, ale przy kontroli pod lampą zawsze się coś jeszcze znalazło. Wtedy zarządzano dodatkowe kary jak skakanie żabką, albo dodatkowe roboty w obozie.

Zdaje mi się, że zarządzenie prania tylko w czystej wodzie, było raczej obliczone na naszą udrękę, a mało miało wspólnego z higieną.

Drugim elementem higieny była kąpiel pod prysznicem, niestety i tutaj obliczano na udrękę więźnia. Wokół ścian kąpieliska ustawiono pipli obozowych z pałkami, a którzy pełnili funkcję jakby milicji obozowej,dla utrzymania porządku, a właściwie używani byli do bicia. Środek kąpieliska pod sitkami zajmowali więźniowie,piple i funkcyjni pod ścianami. Puszczano na zmianę wodę od lodowato zimnej do gorącej. Odskoczenie nagiego szkieletu od sitka kosztowało zarobienie pałki. I teraz zależało od wyboru: lepsze bicie czy męka pod sitkami. Najgorzej mieli ci więźniowie którzy byli w środku kąpieliska, bo już nie mogli dostać się pod kij, aby uwolnić się na chwilę od tej strasznej kąpieli.

Kąpiel nasza była zabawą dla starszyzny obozowej. Kto kierował wtedy dopływem wody nie ustaliłem, ale oskarżam tego człowieka o morderstwo niejednego z nas tym higienicznym sposobem.

Pewnego razu władze obozowe zarządziły zbiórkę tych, co notowani byli za wszy. W liczbie około stu i ja się znalazłem. Ustawili nas piątkami i otoczyli kordonem kapów i wszelkiego rodzaju zwyrodnialców, co za miskę zupy /jedną a może i więcej dziennie na dodatek/ sprzedali się jako piple./ oni wszyscy byli uzbrojeni w pałki drewniane, gumowe i sprężynowe. Dano rozkaz do skakania żabką, a oni nas kijami popędzali do pośpiechu. Nasze skakanie szybko zmieniło się w czołganie, a później w masakrę ludzi już bezsilnych, nie poruszających się, a ciągle bitych. Do dziś zachodzę w głowę, jak to możliwe, że do bicia drugiego człowieka znajdują się chętni i w biciu tak gorliwi. Po uderzeniach zrozumiałem,że nie markują, lecz spełniają to gorliwie, choć byli i oni zmęczeni. Część kolegów przeczołgała się pod prycze, ci mniej dostali, reszta stała się kłębowiskiem ciał, gdyż jeden drugim się zasłaniał, zresztą bez skutku. Od kurzu z podłogi powstał jakby obłok mgły, oddychać też było trudno. I znowu po takim zabiegu "higienicznym" trzeba było uzupełniać stan komanda, tyle że w Gross-Rosen więźniów nie brakowało.

Nie miałem wielkiej urazy do władz obozowych za tego rodzaju udręki, bo byłem w ręku wroga, ale miałem i mam głęboki żal do współwięźniów, którzy byli na tyle zwyrodniali, żeby /choćby kosztem własnego zmęczenia/ tak solidnie bić swoich współtowarzyszy. Ci nie rozumieliby co to sabotaż - oni pracowali dla otrzymania premii od wroga.

7. Ucieczka z obozu i jej skutki. Zdarzyło się zimą, że dwóch więźniów uciekło z obozu, a właściwie uciekli z fabryki podczas zmiany nocnej. Jakie plany mieli uciekający, nie wiem. Czy przemyśleli wszystkie szanse, też nie wiem. Myślę, że raczej była to ucieczka nieprzemyślana podyktowana rozpaczą i brakiem wytrzymałości, bez obliczenia szans za i przeciw. Jeden z uciekających był Rosjaninem, drugi zdaje się Jugosłowianinem. Wykorzystali okoliczności sprzyjające do opuszczenia fabryki.

Ucieczka ich zakończyła się tragicznie dla nich i może jeszcze bardziej tragicznie dla nas. Sytuacja była następująca: drzwi wejściowe do hali fabrycznej były oszklone i zamalowane tylko niebieską farbą ochronną. Drzwi te zamykali od wewnątrz esesmani, którzy pozostawali z nami na hali przez całą noc. Na zewnątrz posterunku nie było, prawdopodobnie z powodu mrozów. Drzwi były ponadto zasłonięte od wewnątrz ciężką kotarą, która stanowiła izolację, a również nie przepuszczała światła na zewnątrz w czasie alarmów lotniczych.

Wiertarki były umieszczone najbliżej drzwi wejściowych i właśnie dwóch więźniów z grupy wiertarek uciekło.

O godzinie 24^{oo} zawyła syrena fabryczna wewnątrz hali obwieszczając przerwę w pracy. Podczas przerwy wszyscy wyłączaliśmy maszyny i przechodziliśmy do ubikacji i dopiero pojedyńczo wychodząc otrzymywaliśmy kolację tj. pajdkę chleba i czarną kawę. I właśnie uciekinierzy, wykorzystując te fakty, w momencie zamieszania o 12 w nocy, kiedy wyjąca syrena zagłuszała wszystko, wybili szybę pod zasłoną kotary i opuścili fabrykę. Ucieczka ich mogła być spostrzeżona najwcześniej po pół godzinie, to jest po zakończeniu przerwy.

I tak się stało, a właściwie to jeszcze później, bo esesmani zostali powiadomieni dopiero po 10 minutach pracy po przerwie. Majster początkowo myślał, że są w ubikacji, ale jak spostrzegł, że marka na wejście jest u niego, a dwie wiertarki stoją bezczynnie, zawiadomił eskortę esesmańską. Zarządzono alarm. Liczenie nas trwało znowu z pół godziny, tym bardziej, że wiedzieliśmy już o ucieczce i specjalnie marudziliśmy w liczeniu.

Ściągnięto nas z fabryki do obozu i liczono wspólnie z pierwszą zmianą dzienną, lecz i to nie dało efektu. Początkowo przypuszczano, że oni uciekli na blok, żeby się wyspać. Powtórne liczenie całego stanu znowu trwało około godziny. Tak że w końcu pościg rozpoczęto co najmniej po upływie półtorej godziny. Szanse dla uciekinierów się zwiększyły.

Wściekłość esesmanów nie miała granic, a najwięcej był wściekły Blockführer. Doszedł on do wniosku po nieudanej pogoni, że ucieczka była zorganizowana. Zaczęto badać pozostałych 8 więźniów pracujących na wiertarkach. Dochodzenie skończyło się egzekucją wymierzenia każdemu po 100 batów. Biedni, stracili z miejsca szansę przetrwania obozu.

Dalsze dochodzenie i poszukiwania nie przyniosły efektu. Blockführer rozszerza krąg badań. Sprowadził więźniów z następnej grupy maszyn. Były to frezarki, na których wśród dziesiątki i ja pracowałem. Padł wyrok Blockführera ponownie po sto batów dla tych ośmiu z wiertarek i po sto batów dla nas. Jesteśmy świadkami egze-

kucji. Blockführer liczy osobiście. Egzekucja trwa długo. Bici już nie jęczą. Ale nas boli choć jeszcze nas nie biją. Nie możemy na to patrzeć. A przecież stoimy w następnej kolejce.

Przeklinałem w duchu tych dwóch, co uciekli. Czy opłaciło im się uciekać dla wątpliwego ratowania własnego życia, ale dla wykończenia w męczarniach 8 współtowarzyszy, którzy by może przetrwali i doczekali końca wojny, a wydawał się on nam zawsze bliski. A jak my wytrzymamy egzekucję? Nasza kolejka stale się zmieniała. Każdy z nas chciał odwlec moment egzekucji. Praktycznie, stojąc na końcu, za chwilę stałem już pierwszy, uciekłem na koniec aby znowu być niedługo pierwszy. W końcu doszła do nas kolej. Na kogo pierwszego wypadnie. Nie pamiętam nazwiska. Zdaje mi się, że to był Tadzio z Warszawy. Młody wysoki chłopiec. Jeden z tych, co zorientowany był w działalności sabotażowej w grupie frezarek. Blockführer zaczyna liczyć. Dwóch siepaczy dobrze odżywionych biją na zmiany, po razie. To za wiele na moje nerwy.

Na salę wszedł Rysio Martyniak, zobaczył co się dzieje i zaraz się wycofał do swojej sztuby. Po chwili na salę wszedł Kuchenkapo, więzień - Niemiec, mający duże wpływy w obozie z racji swej funkcji. Znał mnie z widzenia z kontaktów z Rysiem. Bez namysłu natychmiast uciekłem z szeregu w jego stronę i wtedy dopiero pożałowałem, że nie znam biegle niemieckiego. Zacząłem chaotycznie do niego mówić po polsku, wplatając wyrazy niemieckie, że jesteśmy niewinni, że nic nie wiemy o ucieczce, że dostajemy po sto batów i dodałem coś jeszcze w tym rodzaju, dokładnie nie pamiętam. Może liczyłem, że küchenkapo wykończy mnie odrazu, bo z tego słynął, a może wiedziony intuicją przypomniałem sobie spostrzeżenia, że küchenkapo esesmanów nienawidzi, a oni się go czegoś boją. Küchenkapo na pewno mnie nie zrozumiał, jednak nie uderzył, lecz zbliżył się do Blockführera i coś po niemiecku zaczął z nim mówić.

Blockführer coś mu odpowiedział i powstała między nimi ostra sprzeczka. A najważniejsze, że esesman w tej sprzeczce przestał liczyć, a oprawcy przestali bić. Tadzio już nie był bity i to było ważne. Sprzeczka między Niemcami coraz bardziej przybierała na sile, coraz głośniej dyskutowali i w końcu Blockführer wszedł do sztuby Küchenkapo. Egzekucja została odłożona. Na nasze szczęście już się nie powtórzyła. Zrozumiałem, że solidarność łączy nie tylko Polaków, ale więźniów innych narodowości. Wywnioskowałem, że choć küchenkapo jest więźniem, to musi mieć wpływ na Blockführera. A może i Rysio coś pomógł - tego nie wiem, ale często o tym myślę. Niedługo po tych wypadkach Blockführer został zmieniony i skończyły się spacery ze śpiewem na mrozie w mokrych ubraniach i sprawa ucieczki przycichła. Szkoda tych 8 kolegów, którzy pewno życiem przypłacili niefortunną ucieczkę 2 współtowarzyszy.

Po około dwóch tygodniach zostali oni ujęci i przywiezieni do naszego obozu. Musieliśmy przed nimi przedefilować. Przywiązani byli za ręce do słupków, na głowie mieli biskupie czapki i napis w języku niemieckim, że znowu są z nami. Władek Krawczyński słyszał jak więzień Rosjanin szeptał: "brat ubij". Spodziewali się napewno dalszych męczarni. Wywieziono ich do Gross-Rosen. Przybywający do nas stamtąd więźniowie na uzupełnienie stanu komanda powiedzieli nam, że uciekinierów powieszono.

Nic nie było tak drogie, jak wolność. Ja uciekałem już z obozu jeńców wojennych w Radomiu w 1939 roku, ale ucieczka moja tak była przemyślana, że nie mogła spowodować represji wobec innych. W transporcie do Gross-Rosen, gdy Władek Krawczyński otworzył w nocy drzwi wagonu i można było skakać w biegu pociągu, nie wyskoczyłem ze względów solidarności z najbliższymi towarzyszami, którzy

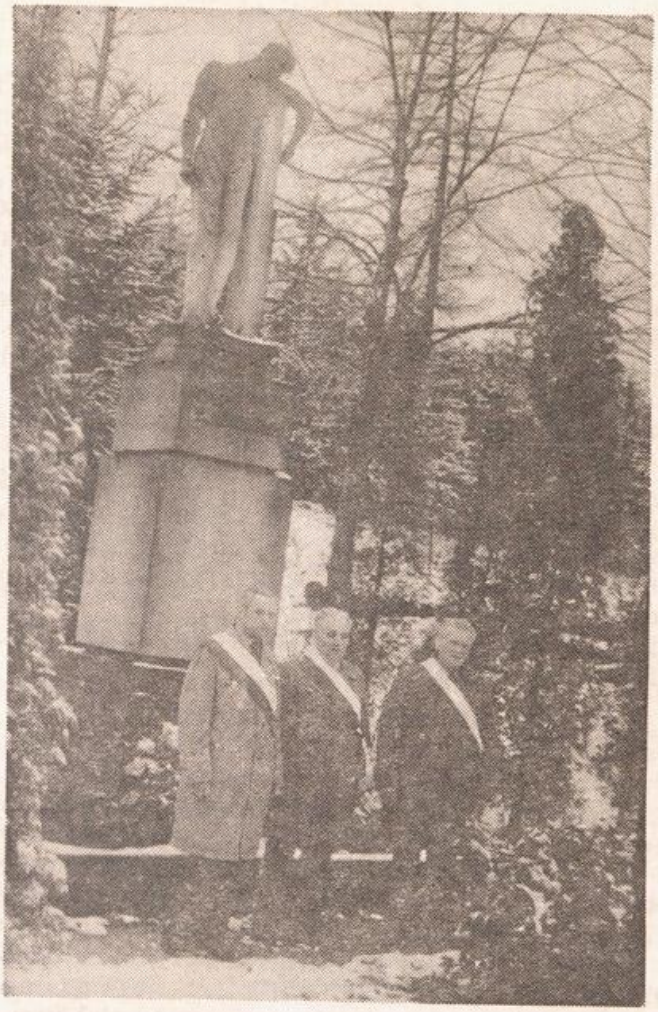

Rynovice. Maj 1980
Warta honorowa więźniów obozu Gablonz.
Od lewej: Stanisław Kuczewski,
Stanisław Salamon, Zenon Karpiński

Foto archiwum Gross-Rosen 3.1.2.35

Tak wygląda obecnie zbiorowy grób więźniów komanda Gablonz, zmarłych w ostatnich miesiącach istnienia obozu. Byli grzebani w ziemi pod lasem. Po zakończeniu wojny, zwłoki ekshumowano do zbiorczej mogiły, na której postawiono krzyż brzozowy z koroną cierniową z drutu kolczystego. Przed mogiłą wzniesiono monumentalny pomnik i napis na cokole "Liede bdete" - /Bądźcie czujni/

nie decydowali się na skok - ale rozumiałem tych, co skaczą, i namawiałem. Gdybym był sam na pewno bym skakał, ale nie mogłem skakać bez Sewka Pianowskiego, który był zabrany z mojego mieszkania, a on nie zdecydował się. Uciekł wtedy z wagonu Janusz Madanowski i inni. Słychać było strzały eskorty, o ile wyskakujący nie natrafił na słup lub inną przeszkodę, mógł mieć szansę. A później w obozie stale obmyślaliśmy plany ucieczki, ale nic nie mogło nam przyjść do głowy logicznego, by tak uciec aby innych nie narazić. I dlatego uznałem, że ucieczka jest trudna i że więcej nam pomoże wzajemna solidarność oraz pomoc koleżeńska, której tak bardzo potrzebowaliśmy. Większość kolegów również w ten sposób komentowała zagadnienie ucieczki, że albo wszyscy, albo w takich warunkach, żeby nie było zbiorowej odpowiedzialności. Do końca mojego pobytu na tym komando ucieczek już nie było. To jeszcze pamiętam, że na początku naszego pobytu w Gablonz został znaleziony drąg żelazny na pryczy Kazia Jastrzębskiego /żołnierz AK uczestnik Powstania Warszawskiego/, na której spał razem z Czechosłowakiem. Była to okazja do przeprowadzenia badania jako podejrzani do przygotowywania ucieczki. Zakończyło się biciem. Kazio i Czechosłowak znieśli jakoś tę kaźnię mężnie, wyleczyli się.

Spotkanie z Kaziem Jastrzębskim w Warszawie na wolności było dla mnie wzruszającym przeżyciem.

8. Culaga niknie sama. Sprawa wyżywienia w obozie była największym problemem. Czasami wydawali ćwiartkę chleba na dwóch i trzeba się było podzielić. Podział ten odbywał się z wielkim rytuałem i skrupulatnością. Więźniowie już nie dzielili chleb na oko, ale odważali na wadze własnej konstrukcji. Okruszyny też były równo podzielone. Nie mylę się chyba, że chleb był podstawowym i najbardziej pożądanym pożywieniem. Chleb był najdroższy. Bywały często kradzieże chleba wśród więźniów, zresztą surowo karane, ale z czasem złodzieje tak się wyspecjalizowali, że trudno ich było wykryć. Dziś z pewną dozą rozczulenia i podziwu wspominam złodziejski spryt kradzieży mojej culagi, ale wtedy kawałek chleba był dla mnie stratą bardzo bolesną.

Rysio, pomocnik küchenkapo, powiedział mi, że potrzeba zrobić za oknem w sztubie küchenkapo półeczkę, która w zimie będzie dla niego lodówką. Jeśli to zrobię, to coś dostanę. Niemało się natrudziłem nad znalezieniem odpowiedniej deseczki, z wielkim mozołem obrobiłem ją nożem, dopasowałem, zrobiłem ogrodzenie ochronne,żeby z półeczki nic nie spadało. Robiłem to kosztem snu, po przyjściu ze zmiany z fabryki. Wreszcie wszystko udało mi się wykończyć i zamontować. Półeczka podobała się küchenkapo. Kazał Rysiowi dać culagę. Była to kromka chleba, a na niej łyżka marmolady. Taka wysoka zapłata, jakiej się nawet nie spodziewałem. Na sztubie było już ciemno, wszyscy spali. Cichutko podszedłem do swojej pryczy. Spałem na górze. Zbadałem czy nikt mnie nie obserwuje, ale słychać było tylko, jak zwykle, jęki i stękania ludzi utrudzonych i śpiących. Położyłem culagę na swojej pryczy z zamiarem zjedzenia jej w łóżku. Chciałem się delektować zapachem i smakiem marmolady z chlebem. Schyliłem się na dół, by zdjąć drewniaki, trwało to może sekundę, dwie. Zalegała nadal cisza. Wspinam się więc na górę i ostrożnie szukam culagi, aby jej nie zgnieść. Lecz szukam daremnie. Culagi nie ma. Wszyscy śpią bez ruchu. Nie dowierzam sobie i swoim oczom. Szukam oczami i rękami, ale bezskutecznie. Culaga zniknęła. Sąsiedzi moi śpią snem kamiennym.

Nawet nie robię alarmu, nie ma po co. Moja culaga pewno już w brzuchu zjedzona bezszelestnie przez czujnego kolegę więźnia.

Przeżyłem tylko radość posiadania culagi, przeżyłem w myśli przyjemną chwilę jej zjedzenia, lecz zjadł ją - bez przyjemności, ale z korzyścią - ktoś inny.

A więc doświadczenie: "co masz w ręku do zjedzenia, zjadaj natychmiast". Pozostało to mi do dnia dzisiejszego.

Innym razem zdarzyło się, że jeden ze współwięźniów nocną kradzież żywności przypłacił życiem. Nikt nie dostawał paczek za wyjątkiem Niemców i Czechów. /Byliśmy przecież na terenach Czechosłowacji/. Jeden z kolegów czeskich dostał paczkę. Zjadł co mógł, trochę podzielił się pewno z najbliższymi kolegami, a resztę schował na pryczy, w której spał. Ale nie spał czujnie, śnił mu się dom rodzinny, a może usnął z nadzieją na dobre śniadanie. Rano zbudził nas jęk jednego z kolegów Rosjan. Boli go brzuch.A za chwilę Czechosłowak już krzyczał, że zginął mu smalec.

Rozpacz jednego więźnia połączona była z konaniem drugiego. Dostał skrętu kiszek i zmarł w męczarniach.

Nasz warszawski transport pozbawiony był w ogóle nadziei na otrzymanie paczki. Mogły być one nadawane tylko z terenu Rzeszy, a poza tym kto z najbliższych wiedział gdzie my jesteśmy. W Gross-Rosen raz wolno było wysłać list po niemiecku, ale tylko do Rzeszy, więc choć napisałem adresując do Warszawy, wiedziałem że nie dojdzie. Znajomych w Rzeszy nie miałem. Jedynie Sewek Pianowski, którego rodzice mieszkali w Nasielsku, wysłał list, ale odpowiedzi ani paczki do Gross-Rosen nie otrzymał. Doszła do niego paczka z domu do Gross-Koschen/, ale dowiedziałem się o tym już na wolności. Mimo to warszawiacy dzielnie i z godnością znosili mękę głodu. Duża grupa młodocianych była otaczana opieką, ale poza dolewką lichej zupy i to czasami, nic więcej dostać w obozie nie mogli. Chleb był wydawany w jednakowej ilości dla wszystkich. Żaden z kolegów naszego transportu nie skusił się na przyjęcie jakiejkolwiek funkcji. Z przyjemnością i dumą Polaka wymienić mogą tylko te nazwiska, która z Gablonz zapamiętałem: Berhard Laskowski, Zdzisław Makowski, Kazimierz i Czesław Jastrzębscy, Piechnowie /ojciec i syn/ i dziesiątki innych, a właściwie wszyscy z naszego transportu - nikt nie splamił godności więźnia politycznego i Polaka.

Wspominam też sensację na naszym bloku, gdy nadeszła paczka dla Włodka Krawczyńskiego. Od kogo - on sam był zdumiony. Zbiegliśmy się oglądać tę paczkę. W pudełku tekturowym od butów były skórki czarnego chleba i suchary, a na dnie kilka sztuk cebuli. Oczy się Władkowi i mnie zaszkliły, gdyż domyśliliśmy się, że paczkę przysłała mu żona, która razem z kobietami w dwóch ostatnich wagonach jechała z naszym transportem. Wagony odczepili we Wrocławiu. Dlatego też i Władek mimo że otworzył wagon w transporcie do Goss-Rosen z wagonu nie uciekał. Kilka skórek chleba Władek rozdzielił między najbliższych, ja nie mogłem wyciągnąć ręki, choć też miałem chęć - ale się wstydziłem. Te skórki chleba były na pewno z wielkim wyrzeczeniem , przysłano właśnie dla Władka, a nie dla innych. Polska kobieta - niewolnik niemiecki znak przyjaźni i otuchy.

9. <u>Wyzwolenie czy śmierć zagląda nam w oczy</u>. Może w końcu stycznia na początku lutego wśród załogi esesmańskiej zamieszanie i niepokój. Z dalekiej od obozu odległości słychać wieczorem odgłosy kanonady artyleryjskiej i wybuchy bomb lotniczych. W obozie zarządzono alarm i przygotowania do ewakuacji. Koce wolno nam zrolować i przewiesić przez ramię. Z podgłówka trzeba wysypać zawartość i zamienić na chlebak. Jest wieczór. Wydają nam chleb na kolację,a dodatkowo po bochenku chleba na podróż. Zabraniają go jeść, bo nie wiadomo, na jak długo nam ma on wystarczyć. Gotowych do marszu,

ustawiono nas pod ścianą baraku, gdzie stłoczyliśmy się w jednym rogu gdzie nie ma prycz. Na wprost nas, przed drzwiami wyjściowymi, ustawiają karabiny maszynowe z obsługą. Każą siadać i czekać. Czekamy, nie wiedząc na co. Może nie ma rozkazu do wymarszu? A może wyzwolenie bliskie? A może tu pozostaniemy na zawsze, bo po co te karabiny...

Różne myśli kłębią się w głowach. Serca biją przyśpieszonym rytmem. Rozmawiać nie wolno, mimo to udaje mi się uzgodnić z zaufanymi kolegami, żeby uprzedzili najbliższych, że w razie przygotowania do zbiorowej egzekucji wszyscy rzucamy się na karabiny maszynowe. Odległość ze dwadzieścia metrów. Wszystkich nas od razu nie zabiją, część może się uratować. Uznaliśmy to jako jedyny ratunek w wypadku rozpoczęcia ognia.

W tej sytuacji postanowiłem dorwać się do całego bochenka chleba. Przecież tak o nim marzyłem. Cały bochenek mieć w ręku! Zacząłem go jeść wolniutko, bez pośpiechu. Czasu było dużo, bo bezczynnie siedzieliśmy kilka godzin patrząc w lufy karabinów. Zjadłem może z pół bochenka, resztę pokroiłem na mniejsze płaskie kromki i pochowałem w zrolowanym kocu. Kawałek włożyłem do chlebaka. Najedzony jak nigdy, rozmyślam o mogących się zdarzyć wypadkach. Wzrokowo porozumiewam się z towarzyszami. Dają znak, że są przygotowani i najedzeni.

Nadchodzi ranek. Ewakuacja odwołana. Pada rozkaz ustawić się w rzędzie i oddawać chleb na rozłożone na podłodze koce. Z żalem oddaję chleb nie dojedzony. Dziw, że za zjedzenie chleba nie biją. Rewidują tylko, czy ktoś chleba nie zatrzymał. Żal mi było tych kolegów, którzy taki skarb musieli oddać w całości.

A dziś myślę, że może to była moja nierozwaga. Bo gdyby nastąpiła ewakuacja, co bym jadł. Jednak tym razem się udało.

Obóz wrócił do normalnych zajęć. Zmiana poszła na fabrykę do pracy, a wolność nadeszła dopiero w maju 1945 roku.

10. <u>Są wśród nas zdrajcy, ale jest też solidarność</u>. Od czasu do czasu robiono na bloku rewizje. Stawaliśmy w szeregu i podlegaliśmy dokładnej rewizji osobistej. Zabierano wtedy kawałek sznurka, z blachy zrobione scyzoryki /noży w obozie nie dawano do krojenia chleba i tym podobne drobiazgi. W życiu obozowym są one bardzo potrzebne, ale dla zwycięskiej armii hitlerowskiej są zagrożeniem. Inna grupa kontrolowała prycze oraz obszukiwała wszystkie zakamarki.

W obozie była zakonspirowana grupa sabotażowa, do której należałem. Podjąłem się przyniesienia na blok płyty ebonitowej, która była w dziale elektrycznym, tajnym i dodatkowo ogrodzonym. Pracowałem blisko wejścia do tego działu. Płytę wyniósł mi Władek Janiszewski, idąc do ubikacji i niespostrzeżenie oparł ją o korpus maszyny przy której pracowałem. Ja płytę schowałem pod mantel i przyniosłem do obozu. Schowałem ją na murze ściany pod stropodachem, bo z mojej pryczy mogłem tam dostać. Wobec tego, że płyta z tak wielkim trudnem została dostarczona na blok, żal mi było, aby ją odkryto przy rewizji. Do sprawdzenia murku wyznaczony był Polak, nie znam nazwiska ani numeru. Był wysoki, dlatego go wybrali do tej czynności. Zaryzykowałem i szepnąłem mu, żeby koło mojej pryczy na murku nie nie zauważył, niech szybko ręką przeleci. Płyta była płaska grubości około 2 centymetrów, i byłoby możliwe do wytłumaczenia, że nie namacał, gdyby ktoś drugi za nim kontrolował. Jednak tym razem się zawiodłem.

Odkrył płytę i przyniósł ją do oberkapo. Oberkapo, Niemiec, szczupły, niskiego wzrostu, nie wtrącał się do naszego życia obozowego. Miał nierozłączonego przyjaciela białego pieska -szpica.

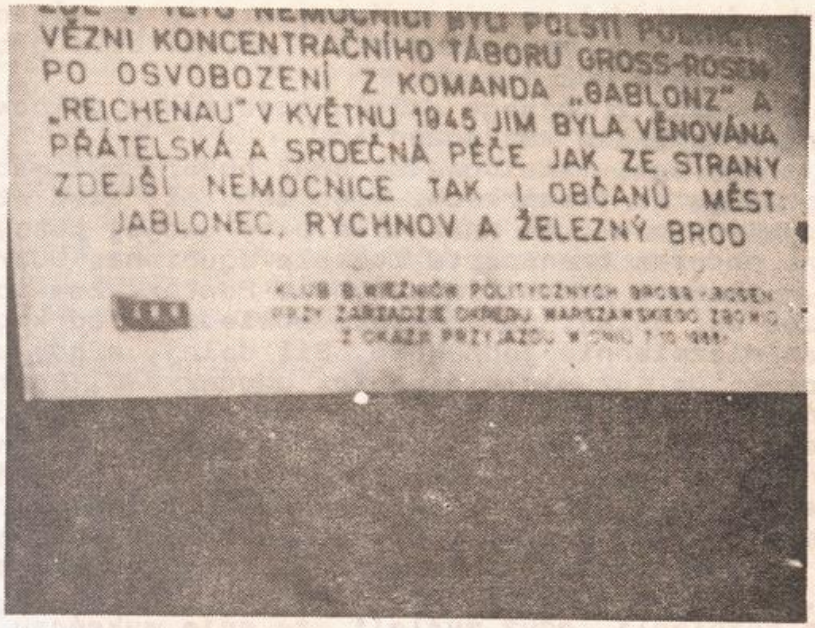

Polscy więźniowie zrzeszeni w klubie b. więźniów Gross-Rosen przy Zarządzie Warszawskim ZBoWiD ufundowali i wmurowali w 1968 roku tablicę mosiężną przy wejściu do szkoły w Żeleznym Brodzie upamiętniając pobyt swój w szpitalu Czerwonego Krzyża

Foto archiwum Gross-Rosen 3.1.2.13.

Zenon Karpiński z Warszawy odczytuje tekst tablicy - gdyż tu otrzymał pierwszą pomoc na wolności

Foto archiwum Gross-Rosen 3.1.2.12.

Ten człowiek odpowiadał za nas w fabryce i to on właśnie zarządził tę rewizję. I dlatego znalezienie tej płytki było groźne. Jak zwykle, przy rewizji był z psem.

Płytka w obozie z tajnego działu specjalnie pilnowanego - była dla oberkapo wielkim zaskoczeniem.
Wystąpiłem z szeregu, zameldowałem swój numer. Był wściekły. Wiedział, że pracuję na frezarkach, więc zapytał, skąd wziąłem tę płytkę. Odpowiedziałem, że znalazłem przy swojej maszynie na ziemi, że pewno podczas transportu została zgubiona. Uderzył mnie kilka razy w głowę i ponowił zapytanie. Powtórzyłem to samo. Nie wierzył, więc bił dalej, żądał żebym powiedział od kogo dostałem. Odpowiadałem niezmiennie jednakowo. Bił dalej, a gdy upadłem, kopał i krzyczał. Ja już nic nie mogłem odpowiadać. Początkowo czułem ból, później chciałem dostać cios śmiertelny, a później nic już nie pamiętałem. Powiedzieli mi potem koledzy, że wszedł na blok Küchenkapo i zapytał, dlaczego mnie tak bije. Coś pozozmawiali i obaj wyszli. Koledzy wynieśli mnie do "wasserraumu" i oblewali wodą. Odzyskałem przytomność, ale bolało mnie wszystko. Głowa była opuchnięta jak bania i sina, zęby powybijane, ciało posiniaczone. W pewnym momencie zostałem sam. Przyszedł küchekapo. Koledzy się rozbiegli, gdyż myśleli, że mnie wykończy. Küchekapo patrzył na mnie leżącego i rzucił mi pod ręce zapalonego papierosa. Był to wielki gest, bo papierosy były rzucane na ziemię i rozdeptywane abyśmy nie mogli peta znaleźć.

A więc küchekapo, ten, którego nawet esesmani się bali, Niemiec, jako więzień był solidarny w stosunku do innych więźniów, nawet do "warszawskich bandytów".

Na drugi dzień jeszcze bardziej wszystko bolało, a opuchlizna na twarzy zakryła mi oczy. Towarzysze chcieli mnie ratować na rewirze. Lekarz odmówił przyjęcia z braku podstaw choroby, bo w obozie bić nie wolno, a wobec tego nie może być pobitego na rewirze. Poprowadzili mnie koledzy ze zmianą do fabryki i postawili koło maszyny. Majster Czech na mnie spojrzał i nie kazał włączać maszyny. Tylko stojąc jej się trzymałem.

Niedługo przyszedł oberkapo - mój wczorajszy oprawca. Zapytał przez tłumacza dlaczego nie pracuję i co to jest, że tak wyglądam. Kazałem tłumaczowi powiedzieć, że śpię na piętrowej pryczy i we śnie spadłem na ziemię i tak się potłukłem. Udał bardzo zdziwionego i współczującego. Później koledzy mi powiedzieli, że tą odpowiedzią uratowałem sobie życie.

Niedługo przyszedł dyrektor fabryki i zapytał jak zdobyłem tę płytę i po co. Odpowiedziałem niezmiennie to samo co mówiłem oberkapo, że ją znalazłem, a zabrałem, żeby zrobić sobie pamiątkę, bo ta płyta da się kroić i rzeźbić. Ubolewał bardzo, że nie zgłosiłem się do dyrekcji, to dostał bym inny materiał, lepszy, a z fabryki wynosić nie można, to jest sabotaż.

Byłem później obiektem pokazowym przy biurze konstrukcyjnym. Przy drzwiach do biura była umywalka. Dostałem proszek i kazali mi ją myć, a w tym czasie wszyscy pracownicy biura kolejno przechodzili i mnie oglądali. Prawdopodobnie była to metoda odstraszania pracowników biura od wynoszenia z fabryki, albo od sabotażu. Na niektórych twarzach widziałem współczucie. Pewno byli Czechosłowakami, albo Niemcami o ludzkich sercach.

Z biegiem czasu doszedłem do siebie bez pomocy lekarskiej, dzięki staraniom i opiece najbliższych kolegów: Wojtka, Władka, Leona, Zenka, Zdzisia, Bernarda i innych.

Zdrajca nie długo czekał na odwet świadczący o naszej solidarności. Przy wydawaniu obiadu podszedł drugi raz z miską po

dolewkę bo spodziewał się nagrody. Dolewkę, o ile zostawało coś w kotłach, dostawali prominenci, młodociani, fryzjerzy i inni wykonujący dodatkowe prace np. murarze, a dopiero później muzułmanie. Ktoś powiedział küchekapo, że on już raz "naszlag" dostał i podchodzi po raz drugi. A to było karane. Küchekapo zarządził z miejsca 25 batów, które otrzymał w czasie obiadu. Chyba zrozumiał, że zdrajcy taką właśnie nagrodę otrzymują. Fakt ten był dla mnie ukojeniem i wykazał, że u nas w obozie jest solidarność nie tylko grup, ale wśród więźniów różnych narodowości. Organizacja obozowa jest silniejsza choć zakonspirowana.

11. <u>O sposobach leczenia chorób</u>. Zaraz po przyjeździe do Gablonz, już w pierwszych dniach pobytu, zaobserwowałem objawy choroby u współtowarzyszy. Zewnętrznie choroba objawiała się opuchlizną całego ciała. Nogi, brzuch, ręce i głowa ledwo mieściły się w napiętych pasiakach, skóra była naprężona i przypominała wodniste bąble jak po oparzeniu. Takich chorych było coraz więcej. Drugą widoczną i dość powszechną była chyba róża. Twarz obrzękła koloru fioletowego. Chory wyglądał jak w dużej gorączce. I wreszcie trzecią chorobą były wrzody. Jak również dotknięty byłem opuchlizną.Żeby się ratować przestałem pić płyny. I to mi pomogło. Przeszedłem również chorobę wrzodową. Zaczynało się od krosteczki, która miała bolesny łepek i powiększała się do wrzodu, wielkości pięści. Środek wrzodu był wypełniony ropą, a po wyciśnięciu powstawał krater do którego palec by się zmieścił. Wrzody były bolesne przy dotyku noszonego ubrania, a tworzyło się jednocześnie kilka. Do dziś pozostało mi kilkadziesiąt blizn na piersiach i głowie. Ropiejące nogi, ropiejące karki, gruźlica, biegunka, gorączka - oto najczęstsze spotykane choroby w Gablonz.

W kilka dni po przyjeździe dostaliśmy zastrzyki, czasami dawali nam do połykania pigułki. Przyjmować musieli wszyscy znajdujący się w danym momencie na bloku. Czy to były środki zapobiegawcze chorobom, czy doświadczenia mające wykazać skuteczność nowych leków, nie wiem, raczej wobec zwiększającego się stanu chorych można przypuszczać to drugie.

W baraku przystąpiono do budowy ścian, mających wydzielić pomieszczenie dla chorych. Miał powstać tak zwany rewir. Do murowania ścian zgłosiło się na ochotnika dwóch murarzy. Początkowo robota im szła. Ale w miarę wzrostu muru przechylał się on na zewnątrz, aż ściana runęła. Zdaje mi się, że murarze dostali baty i nie wiem już kto dokończył budowę. A może i oni, lecz w końcu nauczyli się murować. Jeden z nich był warszawiakiem. Rewir skończono i przeniesiono chorych z sali.

Szefem rewiru był lekarz obozowy - więzień, narodowości polskiej, a przy nim kilku sanitariuszy. Zapamiętałem Adama Grzęskiego ze Lwowa. Długo chorych tam nie trzymano, bo nie było miejsca i nie było czym leczyć. Choć medycyna obozowa dawała nam, przebywającym poza rewirem do połykania jakieś pigułki i zastrzyki w pierś, ale dla chorych był tylko jeden zastrzyk, o którym się dowiedziałem, ale był to zastrzyk śmiertelny.

Patrzyłem na lekarza i jego pomocników jak na morderców, bo właśnie zastrzyk z fenolu /lub czegoś podobnego/ on wykonywał. Największą zapobiegliwość pomocnicza służba medyczna wykazywała przy wydawaniu obiadu. Misek rewir wystawiał zawsze bardzo dużo, kto wie czy nie więcej niż wymagał stan. Ale czy chorzy wszyscy mogli jeść? To jest tajemnica rewiru. Dla chorych nikt z nas nie żałował.Często się zdarzało, że ktoś się zakradł do rewiru wieczorem przynieść koledze kawałek margaryny lub własnego chleba i pocieszyć go. Ale na rewir był wstęp surowo zakazany.

Z kroniki prasowej "Beseda" w Żelaznym Brodzie pod datą 9 maja 1945 roku zapisano:

Středa, 9. května 1945.

V 8,15 odjíždí štkpt. Hafner s por. Rybkou a Pleskotem do Jablonce n. Nis. Připravuje se nástup na Sudety.

Stále docházejí ve větších či menších skupinách němečtí zajatci.

V 11 hod. se stěhuje ONV. ze své prozatímní místnosti v radnici do Cristalu.

V 11,02 hod. vyhlašuje siréna letecký poplach.

Asi ve 12,30 hod. byl prý pozorován souboj ruských a německých letadel nad Koberovami.

Ve 13.05 hod. přivezen první transport nemocných Poláků z koncentračního tábora v Rýnovicích. Dopraveni do ošetřovny v třetím domě.

Ve 14,13 hod. jsou přiváženy zbraně, náboje a benzin z Jablonce n. N. a složeny v sokolovně.

Ve 14,20 hod. přijíždí další transport Poláků z Rýnovic.

V 15.30 hod. postřelen při přepravě zajatců nešťastnou náhodou br. V. Vokřínek.

Transporty aut s kořistí (hlavně zbraně a střelivo) se množí a šoféři jsou hromadně dopravováni do Jablonce, aby ukořistěná vozidla přivezli do Brodu.

V 16.05 hod. dochází velký pěší transport polských vězňů z koncentračního tábora, kteří jsou v tak ubohém stavu, že musí být všichni v ošetřovně prohlédnuti lékařem a většinou ponecháni v ošetřování. Sestry Červeného kříže mají nyní plné ruce práce!

V 16,13 hod. přichází první skupina cizích dělníků (Francouzů, Rusů, Italů) z Jablonce. Je mezi nimi také žena (Italka) s pětiměsíční dcerkou na kočárku. Jsou posláni k Melníkovům na polévku.

Stále docházejí skupiny Poláků z Rýnovic, jež jsou nyní posílány na Pořič.

V 17,15 hod. přijíždí velké nákladní auto s vlečňákem, plné německých uprchlíků a zavazadel. Jedou prý z Bunzlau ve Slezsku a jsou již od 10. února na cestě. Jezdí sem tam a nevědí, kam se obrátit.

Skupiny dělníků všech možných národností docházejí a dojíždějí různými dopravními prostředky od Jablonce. Jsou umisťováni, pokud místo stačí, na Poříčí, nebo posíláni do okolních obcí. Prof. Janíček se osvědčuje jako výborný tlumočník.

V 19,02 hod. přivádí mistr Bukvic na koni velký transport německých zajatců.

V 19,21 hod. odjíždějí 2 čety Bartoškovy roty do Jablonce.

V 19,41 hod. siréna vyhlašuje letecký poplach. Je hlášeno 8 letadel nad Jabloncem. Je slyšet i střelbu z palubního kulometu.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.1.12.

Nigdy chyba nie widziałbym wnętrza ponurych klitek, gdyby nie choroba Józia Szolca. Wychudł bardzo, osłabł, tak że nie mógł już iść o własnych siłach do fabryki. Miał wysoką temperaturę. Pracował na tokarkach. Pocieszałem go, jak mogłem, żeby wytrwał. Pokazywałem mu swoje wrzody i dawałem przykłady innych, którzy cierpią, a jednak się nie załamują. Spaliśmy obok siebie na pryczach. Pewnego dnia prycza pusta - Józia nie ma. Zaczynam go szukać, Znalazłem na rewirze. Leżał na pierwszym piętrze pryczy z lewej strony ścianki. Oczy tylko świeciły chorobliwym blaskiem. Był przytomny, pomimo gorączki. Wpadałem do niego przez kilka dni, aby mu opowiedzieć co się dzieje w obozie, wspominaliśmy bliskich, którzy są daleko od nas. Pocieszałem i dodawałem otuchy. Przynosiłem mu margarynę lub kawałek kiełbasy, jak czasami dostaliśmy na kolację. Wizyty moje odbywały się około godziny 22^{oo} wieczorem, kiedy pracowałem na dziennej zmianie. Wiedziałem już o praktyce usypiania więźniów zastrzykiem i prosiłem Józia, żeby nadrabiał miną poprawę zdrowia. O zastrzykach wiedział, bo obserwował tych którzy po zastrzyku wracali. Widziałem jednego, który wracał jak właśnie byłem u Józia. Pokazał mi go i powiedział, że za chwilę zostanie wyniesiony.

Pewnego ranka dowiedziałem się, że w nocy była selekcja rewiru. i że w grupie do zastrzyku znalazł się Józio, a więc wczorajsza moja u niego wizyta była ostatnią. Odszedł Józef Szolc, zabrany do obozu wraz z bratem Alfredem - obaj polscy ewangelicy, zapewne niemieckiego pochodzenia, którzy odmówili przyjęcia listy niemieckiej. Józio Szolc zginął jako Polak - godnie. Na rewir już nie miałem do kogo się zakradać, w moim przekonaniu był to prędzej zakład pogrzebowy niż lecznica i więcej tam nie zaglądałem. Znikałem nie tylko lekarza, ale i jego pomocników. Tajemnicę zastrzyków i lekarstw stosowanych na rewirze może opiszą ci co tam pracowali. Zmarli i uśpieni więźniowie początkowo byli odwożeni do Gross-Rosen, jednak później, w okresie od stycznia 1945 roku byli grzebani w lasku za obozem. Stan obozu był stale uzupełniany z innych komand i z centrali w Gross-Rosen.

Po wyzwoleniu zwłoki więźniów zostały ekshumowane przez ludność czechosłowacką i złożone w jednej wspólnej mogile, nad którą wzniesiono pomnik z kamienia. Na cokole jest napis: "Lide bied" /bądźcie czujni/ a za pomnikiem stoi brzozowy krzyż z kłębem drutu kolczastego z ogrodzenia obozowego - jako korona cierniowa. Nielicznym udało się wyjść z rewiru i doczekać wolności, a należy do nich dr Jan Dadak z Krakowa. Wielu z więźniów zmarło w pierwszych dniach wolności w szpitalach Jablonec, Żelezny Brod i są pochowani na miejscowych cmentarzach.

12.<u>Wyjazd do komando Reichenau</u>. Komando Gablonz stale uzupełniano nowymi przybyszami do pełnego stanu, na skutek ubytków spowodowanych śmiertelnością więźniów. Metoda "leczenia" w rewirze przez stosowanie śmiertelnych zastrzyków, również przyśpieszała wymianę więźniów. Niemniej komando Gablonz stanowiło już zorganizowaną grupę więźniów polskich, francuskich, czeskich, rosyjskich i niemieckich, którzy znów byli zwartymi grupami narodowościowymi,ale jednocześnie solidarnymi internacjonalnie.Mówi o tym choćby kilka przykładów przytoczonych w tym wspomnieniu.

Więźniowie funkcyjni rekrutujący się przeważnie z mętów społecznych, łatwo i szybko dali się poznać i zostali izolowani. Np. Szasza - podobno własowiec, który już wcześniej zdradził swą ojczyznę. Niektórzy więźniowie funkcyjni, nawet Niemcy, wykazali w sporadycznych przypadkach dpjrzałą indywidualność i międzynarodową solidarność więźniarską, stając po stronie grup ruchu oporu np.

Küchekapo. Wszyscy tym bardziej wzajemnie sobie pomagaliśmy, im bardziej się poznawaliśmy. Nawet zmiana Lagerführera wpłynęła na poprawę naszego samopoczucia, a poprawa dania obiadowego - zupa z kaszą dodała nam otuchy.

Kiedyś, przechadzając się korytarzem koło mieszkania Lagerführera w poszukiwaniu jakiegoś użytkowego odpadku minąłem się z żoną Lagerführera. Przylgnąłem do ściany, bo w korytarzu był półmrok w nadziei, że mnie nie zauważy /nie chciałem jej przestraszyć/, ona jednak musiała mnie spostrzec, otworzyła mieszkanie, wbiegła do niego nie zamykając drzwi i, nim zdążyłem się wyślizgnąć ze swego kąta włożyła mi do ręki kromkę chleba, kładąc palce na ustach jako znak milczenia. Zrozumiałem, że żona Lagerführera też jest naszym sojusznikiem.

Przybył do nas transport oświęcimski. Patrzyliśmy z podziwem na ich dobytek obozowy. Koce, włochate wełniane, bieliznę i inne prawie zapomniane przez nas przedmioty, jak np. szczoteczki do zębów, a nawet broń palną. Przyjechali na 28 wozach konnych.Mieli jechać do Berlina z eskortą esesmańską. Droga była zamknięta i po trzech dniach wrócili. Ich dobytek na wozach został zabrany przez esesmanów, a oni rozpoczęli normalne życie więźniarskie. Po kilku dniach zaczęli niknąć. Podobno ich küchekapo wykończył. Byli to kapowie z Oświęcimia.

Patrzyliśmy na nich ze zdziwieniem i podziwem, oni na nas jak na muzułmanów. Niechętnie z nami rozmawiali, lecz z tego co mówili wynikało, że zaskoczeni są losem, jaki im przypadł, tj. przebywanie w naszym obozie. W Oświęcimiu mieli większe wygody.

W krótkim czasie wyczytane zostały do transportu numery więźniów z naszego komanda. Byliśmy tym bardzo zdziwieni, bo tylko raz, po świętach Bożego Narodzenia, kilku więźniów zostało wyznaczonych na transport, w tej liczbie Czesio Jastrzębski i Tabaka - obaj z Warszawy. Musieli oddać wszystko co zdołali zorganizować sobie w obozie - strzępy szmat, swetrów itp. Tylko w pasiakach poszli na transport w nieznane - jak się później dowiedziałem do Buchenwaldu /kilku z nich zmarło/. A teraz znowu transport. Wyczytują numery. Pada i mój. Żal mi rozstawać się z przyjaciółmi.Żal mi rozstawać się z Vlastą - szrajberem, Czechosłowakiem, który otrzymując paczki z domu, dał mi raz kawałek suchara. Żal mi opuszczać przyjaciół z Warszawy: Wojtka, Jurka, Zenka, Bernarda, Zdzisia i innych, którzy jako harcerze stali w szeregach walczących, a w obozie zakonspirowali się w grupy sabotażu fabrycznego, szkodząc czynnie wrogowi.

Stu więźniów odchodzi z obozu pieszym transportem do Reichenau. Jest początek marca. Dzień dłuższy , a śnieg już zaczyna topnieć w lesie pod promieniami słońca. Przy ścieżce leśnej widzę, że coś się bieli na mchu. Co to może być? Po dłuższym rozważaniu dochodzę do wniosku, że to skorupki jajka zjedzonego na twardo. To jednak jeszcze są ludzie, którzy jedzą jajka. Jak też to smakuje? Maszeruję i rozmyślam. Rozmawiać nie wolno. Konwojenci zaostrzają czujność, byśmy się nie rozbiegli. A my sprzyjającej okazji też nie widzimy do ucieczki.

Wieczorem byliśmy przyjęci na bloku 2 w komando Reichenau i wcieleni do baukolony.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.3.3.

Adam Grzęski
P-210

WSPOMNIENIA SANITARIUSZA Z REWIRU W GABLONZ

Z początkiem listopada 1944 roku skierowano nad, 500 więźniów obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, do bloku transportowego, zlokalizowanego niedaleko bramy wejściowej przy placu apelowym.Byli wśród nas reprezentanci wielu narodowości: Polacy, Czesi, Jugosłowianie /przeważnie Chorwaci/, Rosjanie, Holendrzy, Belgowie, Włosi.

Formowano nowe ausenkomando Gablonz, dobierając do niego przede wszystkim wysokokwalifikowanych techników, rzemieślników i robotników - szlifierzy, tokarzy, ślusarzy, metalowców - i kierując się zeznaniami, uzyskanymi podczas rejestracji, podczas przyjęcia nas do obozu. Byli wśród nas też fachowcy ściągnięci do Gross-Rosen i z innych obozów koncentracyjnych. Bezpośrednią władzę nad nimi przejął blokowy Tadeusz Kowalski. Jego blok był nie wykończonym jeszcze barakiem, podzielonym na dwie zasadnicze części: jedna przewidziana była na łaźnię, w drugiej, zgromadzono nasze przyszłe komando.

Urządzeń żadnych tu nie było. Z boku znajdował się duży stóg, czyli nasze posłanie, rozciągane na noc na ziemi; do przykrywania się mieliśmy koce. Na dzień salę barakową porządkowano, a więźniów przepędzano na dwór. Tu dorywczo werbowali ich do rozmaitych komand roboczych różnego autoramentu kapowie. Pomieszczenie bloku, kiedy przebywaliśmy na zewnątrz, wykorzystywane było do wielu celów, m.in. jako sala kinowa dla obozowych prominentów i funkcyjnych. Wewnątrz bloku znajdowały się jeszcze nieduże, wydzielone pomieszczenia: dla blokowego, na podręczny magazyn żywnościowo-gospodarczy, na wc. Zanim rozpoczęto formowanie naszego komanda z niepokojem oczekiwaliśmy zimy, toteż z ulgą i nadzieją na lepsze warunki pracy pod dachem przyjęliśmy skierowanie na to właśnie komando. Między nami, przerzucanymi z dnia na dzień do rozmaitych dorywczych zajęć, nawiązywały się nici koleżeńskiej przyjaźni. Wszystkich nas łączyła złudna nadzieja lepszego jutra. Jednego dnia, kiedy już ciemno było na dworze, skierowano nas w kilkunastuosobowej grupie do obierania kartofli w kuchni. Pozwolono nam śpiewać, byliśmy jednak czujni. Wiedzieliśmy, że w ten sposób wyłapywano tych, którzy w piosence ujawniali i w ten sposób podtrzymywali ducha oporu. Tragicznie się to dla nich kończyło. Załoga blockführerów i strażników składała się z ludzi niejednokrotnie rozumiejących język polski i rosyjski, nie mówiąc już o całej plejadzie wewnętrznych donosicieli. Jedną z piosenek, która szczególnie przypadła nam w tym czasie do serca była ta, zaintonowana przez Zygmunta Pękałę z Częstochowy i zaczynająca się od słów: "Upływa szybko życie, jak potok mija czas, za rok, za dzień, za chwilę razem nie będzie nas". Nie ma już Zygmunta Pękały - zmarł na biegunkę w Gablonz /w Pinovicach/ 2 maja 1945 r. w dzień swoich imienin, na tydzień przed wyzwoleniem. Kilku nam, nie posiadającym technicznego przygotowania, wyznaczono przydział pracy na komandzie już w Gross-Rosen. Za wstawiennictwem dr Antoniego Mianowskiego ze Lwowa, lekarza heftlinga, który kierował sanitarnym personelem

rewirów, rekomendowany przez prof. dr Mieczysława Michałowicza, z którym pracowałem jakiś czas w zespole sanitarnym rewiru III Flügel "B" w Gross-Rosen, wyznaczony zostałem na sanitariusza /Pfleger/ do obsługi komanda. Z personelu lekarskiego wyznaczono dr Twardowskiego, człowieka prawego, głęboko przeświadczonego o swoim posłannictwie na takim posterunku, jaki wyznaczyło mu życie. Jego postawa, bezkompromisowość w kierowaniu chorych potrzebujących pomocy na rewir zwróciły uwagę zmienionych w lutym 1945 r. funkcyjnych oraz lagerführera i spowodowały odesłanie go z komanda. Na schreibera wyznaczono mówiącego po polsku Niemca z Łodzi, człowieka około 60-letniego, a do pracy w Schreibstubie Vlastimila Barnata, Czecha. Tłumaczem został Witold Brust z Łodzi, a blokowym więzień polityczny imieniem Tadek, funkcje oberkapo i küchenkapo pełnili niemieccy kryminaliści z zielonymi trójkątami przy obozowych numerach.

Któregoś dnia, w trzeciej dekadzie listopada 1944 roku skierowane nas do łaźni, wydano bieliznę i pasiaki, poddano osobistej rewizji i wyprowadzono wieczorem na plac apelowy. Była to odprawa Ausenkomando-Gablonz do miejsca przeznaczenia. Gotowość do wymarszu meldował rapportführerowi lagerältester Pawlikowski, lagerführerem był Otto Saenger, blockführerem Paul Faber. Uformowani w pochód, objuczeni sprzętem gospodarczym i otoczeni kordonem SS, wyruszyliśmy w ciemność bramą wejściową KL Gross-Rosen do stacji kolejowej. Tu załadowano nas po 80 więźniów oraz nadzorujących nas wachtmanów do 7 wagonów towarowych bez okien, z przesuwanymi drzwiami pośrodku. Na trzeci dzień koło południa dotarliśmy do stacji Gablonz. Wyładowano nas i uformowano w pochód, do pobliskiej miejscowości Reinowitz, gdzie usytuowano nasze ausenkomando Gablonz. Ulokowano nas na już przygotowanym obszernym strychu zabudowań gospodarczych kuchni i stołówki dla tzw. "pracowników wolnościowych-cudzoziemców". Znajdowały się one w pobliżu fabryki urządzeń precyzyjnych Zeiss-FAB, pracującej dla potrzeb przemysłu wojennego. Zabudowania, w których znajdował się nasz blok, usytuowane były na stoku wzgórza, a do bloku, zabezpieczonego naelektryzowanym kolczastym drutem, o przeświturjącym, ceramicznym dachu, wchodziło się po drewnianym mostku i po schodach. Z frontu, przed halę bloku, znajdowały się pomieszczenia dla kierownictwa komanda i wachtmanów SS. Przez uchylone drzwi od pomieszczeń SS, w momencie ewakuacji komanda w dniu 8 maja 1945 r. ujrzałem na jednej ze ścian hasła, wypisane na wysokości około pół metra od sufitu. Jedno z nich szczególnie utkwiło mi w pamięci: "Besser eigenes Messer im fremden Herz, als fremdes Masser im eigenen Herz. /Lepiej własny nóż w obcym sercu, jak obcy nóż we własnym sercu/. Na halę blokową wchodziło się przez stosunkowo wąski korytarz. Z prawej strony korytarza, wchodząc do bloku, mijało się drzwi do tzw. kapówki i magazynu żywnościowego, gdzie ulokował się küchenkapo z plejadą swoich pomocników do waschraumu. W głębi bloku znajdowały się nieduże pomieszczenia dla blokowego i dwa na ambulatorium. Natomiast pomieszczenia rewirowe, dobudowane w styczniu 1945 roku miało około 20 m2. Pozostała, olbrzymia powierzchnia bloku podzielona była na dwie zasadnicze części: tagesraum ze stołami i ławami oraz schlafraum z kilku rzędami kojek,ustawionych piętrowo, z papierowymi siennikami, wypchanymi holzwolle, nakrywanymi kocami.

Po raz pierwszy weszliśmy do pomieszczenia naszego bloku wczesnym listopadowym popołudniem 1944 r., wieczorem otrzymaliśmy pierwszy posiłek - kartofle w łupinach z sosem, zwanym przez nas zołzą, o nieokreślonym smaku. Ten pierwszy posiłek wydał się nam zapowie-

dzią lepszego wyżywienia, ale była to, jak się później okazało, tylko zapowiedź. W czasie tego pierwszego posiłku wszedł na blok lagerführer i - jedyny raz w czasie trwania komanda - dyrektor fabryki, szczupły brunet w czarnym ubraniu z odznaką NSDAP w klapie marynarki, o dziwo! przedstawiony nam przez lagerführera. Powiedział parę zdań na temat spodziewanego przez fabrykę efektu naszej pracy w zamian za zatrudnienie pod dachem i pomieszczenie z centralnym ogrzewaniem. Okazało się później, że choć instalacja istniała, z eksploatacją jej było źle. Tę lustrację siły roboczej,zakontraktowanej przez fabrykę u SS, przeżywaliśmy z dużym napięciem emocjonalnym.

Następnego dnia z samego rana podzielono nas na dwie zmiany i grupy robocze wg ewidencji przygotowanej przez schreibstube, a potem skierowano pierwszą zmianę do pracy w fabryce. W krótkim czasie uregulowany został tryb życia. Każde z około 200-osobowych zmian roboczych, po dyslokacji na kojkach wg przydziału do zmiany, miała wyznaczony 10-godzinny dzień roboczy: od 6 rano do 16 i od 20 do 6 następnego dnia.Czterogodzinna przerwa między zmianami wypełniona była myciem, posiłkiem, odwszawianiem, apelem, zajęciami na bloku. Wszystko przy akompaniamencie ryków więźniów funkcyjnych, którzy te swoje "awanse" na funkcyjnych kupowali u niemieckich kryminalistów za cenę swego ciała, a rekompensatę odbierali w postaci zwiększonych racji żywnościowych i władzy z tytułu funkcji porządkowych. Manifestowali ją ogłuszającym rykiem i pokazowym biciem współwięźniów przy lada okazji grubymi kablami o przekroju około 3 cm., przydzielanymi im do tego celu z odpadów fabrycznych. Patronował tej akcji "wychowawczej" blockführer Faber, popularnie nazywany "pięćdwadzieścia", wyznaczający w tej "polszczyźnie" karę za różne obozowe przewinienia. Wykonawcami byli funkcyjni, kapowie,ździubowy i lagerälteste w zależności od ilości więźniów poddawanych jednorazowo chłoście i "rangi" przewinienia. Odbywało się to zwykle popołudniową lub wieczorną porą, po odwszawianiu, czyli sprawdzeniu pod silną elektryczną żarówką bielizny, podawanej przez więźniów stojących w kolejce funkcyjnym. Należność odbierano zwykle w relacji 1:1, tj. wesz-jedno uderzenie pałą.

W ogromnym napięciu psychicznym przeżywaliśmy te codzienne"imprezy". Krzyki katowanych, rozbestwienie funkcyjnych i niepewność najbliższej chwili robiły z nas ludzkie łachmany. Wzrastające wciąż napięcie odczuwałem w sposób bardziej dotkliwy niż razy, otrzymywane po rozłożeniu mnie i przytrzymaniu. Czułem już wtedy tylko potworny ból, wydawałem jakieś zwierzęce, nieartykułowane ryki.

W ambulatorium przybywało opatrunków zarówno z powodu obrażeń przy pracy, jak i pobicia przez oberkapo i jego pomocników. W związku ze stwierdzeniem przez dr Twardowskiego przypadku jaglicy u około 20-letniego Polaka, którego przy najbliższej okazji odesłano do Gross-Rosen, lagerführer wydał polecenie odizolowania chorych od zdrowych.Wyznaczono małą część tagesraumu i kazano ją odgrodzić jako rewir, wykorzystując dwie boczne ściany bloku, murem wysokości 2/3 hali blokowej. Do prac murarskich zgłosił się ochotniczo wysoki Polak z kilku kolegami. O murarce nie mieli jednak pojęcia, tak że praca szła im opornie. Po dwóch dniach, kiedy pierwsza zmiana odeszła od fabryki, a druga jeszcze nie powróciła, wybuchła duża awantura. Lagerführerowi doniesiono, że murarz szykuje na niego zamach, nawet znaleziono u niego żelazny łom. Zdenerwowany lagerführer wpadł z krzykiem na blok, schwycił małą ławkę stojącą w pobliżu i zaczął nią okładać murarza. Szybko zmęczył się jednak i wyznaczył mu karę 25 kijów. Egzekutorem był blokowy.

Wazon z kwiatami wykonany bezpośrednio na tynku ściany baraku. Blisko po 40 latach był czytelny w kompozycji i barwie. Autorem obrazów w Gablonz był więzień Rosjanin /nazwisko nie ustalone/. Dwa inne obrazy tegoż autora zamieszczono w "Przeżyliśmy Gross-Rosen" Tom I zeszyt 1 na stronie 28.

Foto archiwum Gross-Rosen nr 3.1.1.59
zdjęcia wykonano w 1980 roku.

Murarzowi zakazano dalszej pracy na bloku i odebrano dodatkowe wyżywienie za "budowę" rewiru. Na tym incydent się zakończył, a ścianki rewiru postawili inni więźniowie.Ledwie skończyła się ta sprawa w kapówce pobiły się władze - lagerälteste "Tadek" i küchenkapo. Poranili się. Wyleciały szyby, ale sprawę zatuszowali między sobą. Wieczorem, przed apelem, küchenkapo wezwał mnie do siebie i polecił mi opatrzyć sobie pokaleczone pięści. W kapówce stało kilka piętrowych kojek, na których spali pracujący w küchenkapo więźniowie, przeważnie młodociani. Za udzieloną pomoc dostałem dodatkową pajdkę" chleba z marmoladą. Od tego czasu wzywał mnie każdorazowo, kiedy jakieś obrażenie czy niedomogi zdarzały się jego "podopiecznym". Za opiekę sanitarną płacił dodatkowo w dostępny sobie sposób. Zaopatrzył mnie w kilkakrotnie większą ilość misek niż tego wymagał stan chorych na rewirze, polecając porządkowym wydawać na rewir dolewki. Pobierano je w wydane miski. Stałem przy drzwiach i podawałem na pierwszą kojkę. Podane miski z jedzeniem wędrowały pod koce, dopóki ich nie zabrakło. Pod koniec na kocach było po jednej misce - legalnie. W ten sposób, przy braku leków, tak zwiększona ilość wyżywienia stwarzała możliwość przynajmniej częściowej regeneracji sił. Tylko rozdziału chleba ten sposób fasowania niestety nie dotyczył. Chleb był dzielony ściśle według stanu chorych.

Przed świętami Bożego Narodzenia lagerführer dostarczył z fabryki kolorową kredę i farby. Polecił jednemu z kolegów Rosjan,reklamującemu swoje umiejętności artysty, wymalować na ścianach obrazy. Tak powstały nasze obozowe egzotyczne malowidła ścienne,obrazujące więźniarskie tęsknoty za przestrzenią, przyrodą, wolnością. Pozostały do dzisiaj, zabezpieczone przez naszych czeskich przyjaciół. Znajdują się na terenie dzisiejszych zakładów produkcyjnych LIAZ w Rynovicach, choć naturalnie blok zmienił przeznaczenie - znajduje się w nim magazyn - a fabryka swój profil produkcyjny.

Na okres świąt skrócono czas pracy w fabryce; mieliśmy czas wolny od rannej zmiany pierwszego dnia świąt do drugiej zmiany następnego dnia. Ale wolny tylko od pracy w fabryce.Przeznaczono go natomiast na generalne porządki - mycie, pranie, odwszawianie, czyszczenie. Wydano nam papierosy; od pewnego czasu blockführer wyznaczał je jako specjalną premię dla odwszawiaczy. Za zarobione marki obozowe mogliśmy nabyć dodatkową żywność - gotowane kartofle w łupinach oraz na słodko przyrządzony kompot z buraków. Były tego mizerne ilości.

W niedługi czas po świętach lagerführer zachorował na tyfus brzuszny. Leżał w swoim pomieszczeniu w esesmańskiej części naszego bloku. Przyrządzaniem i podawaniem mu pożywienia, według wskazówek obsługi sanitarnej SS, zajmował się Küchekapo i podlegający mu więźniowie. Zapanowała tyfusowa psychoza.Nadzorujący nas esesmani, choć nikt więcej, ani po ich, ani po naszej stronie, nie zachorował na żadną odmianę tyfusu, panicznie obawiali się choroby, szczególnie tyfusu plamistego. Przy ogólnym braku środków do utrzymania higieny, mydła, ciepłej wody, zmiany odzieży, zabezpieczenia czystości posłań, zaostrzono wydatnie sankcje za znalezione u więźniów wszy. Odwszawianie stało się zmorą więźniów. Mimo kar, w tak antysanitarnych warunkach zawszenie bezustannie wzrastało. Bicie wszy nie rozwiązywało sprawy, nie rozwiązywało jej też cotygodniowe, niedzielne pranie odzieży w zimnej wodzie bez mydła, ale za to zwiększyła się zachorowalność, spowodowana przeziębieniami, wywołanymi wprowadzaniem więźniów przy

kilkunastustopniowym mrozie na plac poza blokiem, w mokrych, zaledwie wyżętych ubraniach i pędzeniem ich pod pałkami przez śnieg po kolana lub, na zmianę, poleceniami czołgania się w śniegu. Działanie to, zdaniem blockführera, miało spowodować wygubienie wszy.

Ze względu na obawę zarażenia się przy wzrastającej zachorowalności administracja komanda zażądała od fabryki przydziału leków. Pobierano je z fabrycznej, przyambulatoryjnej apteczki. Przydziały obejmowały zarówno załogę SS, jak i komando. Spełniałem rolę tragarza, pod osobistym nadzorem blockführera Fabera, przy przenoszeniu lekarstw z fabryki do pomieszczeń komanda. Ujawnił on przy tym swoje zamiłowanie do alkoholu. Niektóre leki na spirytusie /wydawano ich niewielkie ilości/ kierował rzekomo do więźniarskiego ambulatorium, a następnie wypijał je. Przy okazji udało mi się wmówić w niego konieczność pobrania dla nas innych leków, pozostających jakoby w ścisłym związku z leczeniem środkami sporządzanymi na spirytusie. Tych już jednak nie traktował jako zakąski - pozostawały dla więźniów. Zwiększenie zaopatrzenia w lekarstwa nie nadążało jednakże za wzrostem zachorowań; mnożyły się przypadki zapalenia płuc, gruźlicy, biegunki, flegmony, róży.

W tym początkowym okresie funkcjonowania komanda dwu więźniów podjęło ucieczkę, Chorwat i Rosjanin. Schwytano ich, skatowano, przyodziano w błazeńskie, papierowe stroje z tablicą na piersiach "Wir sind wieder da" - my znów wróciliśmy tutaj i przydzielono na blok. Wieczorem wyprowadzono...

Coraz więcej nas ubywało. Słabszych, schorowanych czy wyeliminowanych z pracy w fabryce, kierowano do obozu macierzystego Gross-Rosen bądź na inne komanda, a stamtąd przywożono nowych więźniów. W ten sposób przeniesiono naszego kolegę Henryka Uchmana na komando Reichenau. Coraz częściej odbywał się taki ruch więźniów pomiędzy Gross-Rosen i komandami. Rozumieliśmy go jako "profilaktykę" przeciw zżywaniu się więźniów wyimaginowanym "spiskom".

Na jakiś czas przed pierwszą selekcją, pewnego dnia w godzinach wieczornych wprowadzono na blok pod eskortą esesmanek 100-osobowy, pieszy transport ewakuacyjny więźniarek, Żydówek różnych narodowości. Naszym więźniom polecono iść spać na kojki. Zostali funkcyjni. Więźniarkom kazano partiami rozebrać się do naga i umyć się pod prysznicami. Były zdrożone, wyczerpane, z różnymi obrażeniami. Opatrywaliśmy je z lekarzem w ambulatorium. Skarżyły się na pobicia, w czasie drogi. Jedna z nich miała piersi poparzone przez esesmankę wylaną na nią na mrozie herbatą. Przebywały do późna na bloku, a po mykwie skierowane zostały do przygotowanego dla nich w tym czasie przyfabrycznego baraku. Opatrywaliśmy je jeszcze następnego dnia, kiedy nocna zmiana naszych kolegów poszła spać.

Dopóki byliśmy tylko we dwójkę z dr. Twardowskim przy obsłudze sanitarnej komanda, stanowiliśmy poważne oparcie dla kolegów, nie będąc kontrolowani i terroryzowani przez funkcyjnych. Niebawem stan ten zmienił się. Z oświęcimskiego transportu ewakuacyjnego przybyło kilkudziesięciu więźniów zaopatrzonych w żywność i leki wydane im na drogę. Lagerführer Saenger został odwołany, a na jego miejsce przybył nowy. Ze zlikwidowanego komanda w Hirschbergu przybył nowy lagerälteste i blockälteste, obaj niemieccy przestępcy z zielonymi trójkątami, obaj noszący imiona Heinz. Przybyło z nimi kilkunastu więźniów, przeważnie Żydów bądź pochodzenia żydowskiego. Między nimi lekarz Żyd pochodzenia czeskiego, który od przybycia też dorywczo pracował w ambulatorium przy popołudniowych przyjęciach chorych. Przybysze przywieźli sprzęt i zaopatrzenie po zlikwidowanym komandzie w Hirschbergu i nowe, ziejące grozą i śmiercią porządki.

odkryty grób 2 więźniów pochowanych w lesie

foto archiwum Gross-Rosen
3.1.1.16

odkażanie zwłok

foto archiwum
Gross-Rosen
3.1.1.15

Przeprowadzono kontrolę stanu chorych, a w niedługim czasie po tym odesłano do Gross-Rosen dr. Twardowskiego. Na jego miejsce, z nową partią więźniów, przybył dr Eugeniusz Nowaczkiewicz, ginekolog z Wrześni. Zajął on jedno z dwu pomieszczeń w ambulatorium, odseparowując się od rewiru, do którego przychodził tylko na poranny obchód. Kontakt z nim polegał na relacjach o stanie chorych podczas obchodu i na wspólnych przyjęciach ambulatoryjnych w godzinach popołudniowych. Pomocy chirurgicznej udzielał w sposób brutalny, tak że w czasie przyjęć ambulatoryjnych niechętnie do niego podchodzono, podczas kiedy przede mną ustawiała się kolejka. Było to przyczyną jego niechęci i separowania się ode mnie. W czasie dnia, kiedy obsługiwał lżej chorych, nie kierowanych przez niego na rewir, korzystał z usług i pomocy przybyłego z nim więźnia "krajana", który prócz funkcji nadkontyngentowego sanitariusza spełniał też rolę "obozowej orkiestry" jako harmonista. Dysponował bowiem przydzielonym mu, a przywiezionym z Hirschbergu akordeonem. Z nowym natomiast lagerälteste i blockälteste dr. Nowaczkiewicz utrzymywał koleżeńskie stosunki. Na rewirze przebywali w tym czasie: Kurt Grzondziel - jedyny Polak z Piotrowic, zesłany do obozu za niepodpisanie folkslisty, a skierowany na rewir w stadium krańcowego wyczerpania; Jan Stachura, lotnik, ze zoperowaną przez dr Twardowskiego flegmoną; Jan Baranowski i Czesław Reszko z Warszawy; dr Jan Kurnatowski - Dadak z Krakowa; Franjo Klindic z Banjaluki; Zdzisław Ładkowski, przybyły do KL Gross-Rosen z KL Stutthoff, Józef Maziarski z Krakowa: Janocha, robotnik warszawski; Stanisław Jankowski z Łodzi; Stanisław Grzybowski z Warszawy; Madej, wieśniak; wysoki Pawło z Białorusi i inni, których nazwisk już nie pamiętam.To Pawło, patrząc, jak śmierć przerzedza nasze szeregi i jak umarłych zaszywa się w papierowe sienniki, ułożył wiersz:

"Siedyje wierby nad wodoju
poniże gołowu nakłoniat
kagda niemytoho mienia
w rogożkie ticho pochoroniat".

Przebywaliśmy razem całymi dniami. Nawiązała się między nami głęboka, przyjacielska więź. W rozmowach-wspomnieniach, we wierze w lepsze, wolne jutro nie kryliśmy się przed sobą. Nie było między nami zdrady. Starałem się im pomóc wszystkimi dostępnymi mi środkami, umiejętnościami i możliwościami. Oszczędzałem, jak mogłem, ich wyczerpane siły. Od wszy tylko nie umiałem ich wyzwolić. Składali swe ubrania na rewirze - stamtąd wyłaziło robactwo. Nie było środków, aby je skutecznie wytępić. Za moją troskę o nich odwdzięczali się głęboką życzliwością. Do dzisiaj zachowałem ich przyjaźń. Do dzisiaj z tymi, którzy jeszcze żyją, utrzymuję kontakty.

Głęboko wstrząsnęła nami pierwsza selekcja pod patronatem Fobera. Przeprowadzali ją lagerälteste, blockälteste i lekarz. W wyniku jej blokowy i lekarz zastrzykami z sublimatu zgładzili kilku chorych. Nie pominęli rewiru - tu uśmiercili dwu ciężko chorych. W tym momencie nie orientowaliśmy się jeszcze, że to śmiercionośne zastrzyki. Po wezwaniu kilku wyselekcjonowanych więźniów do ambulatorium, z którego już nie mieli wyjść, lekarz i blokowy przybyli na rewir. Blokowy trzymał napełnioną strzykawkę. Myślałem w pierwszej chwili, że lekarz uczy blokowego robić zastrzyki. Do takiego mniemania skłonił mnie przypadek, który widziałem, przecięcia w ambulatorium podczas przyjęć flegmony u jednego więźnia przez blokowego przy fachowych uwagach lekarza. Dopiero po pewnym czasie, kiedy funkcyjni wynieśli zmarłych z ambulatorium i rewiru do pomieszczenia z prysznicami, zorientowa-

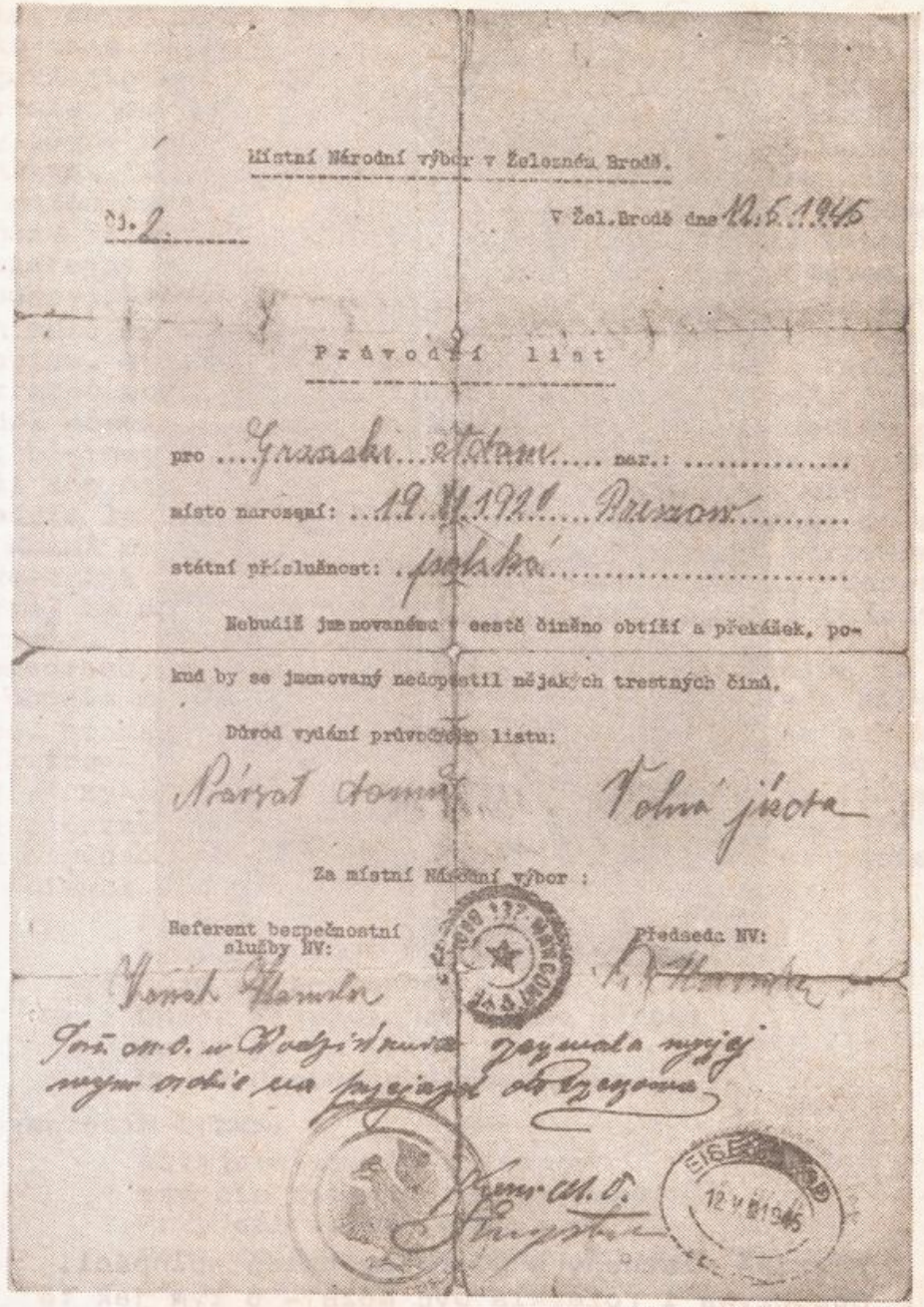

Místní Národní výbor v Železném Brodě.

Čj. 2

V Žel. Brodě dne 12.5.1945

Průvodní list

pro Grząski Adam nar.: .....

místo narození: 19.11.1920 Przeszow

státní příslušnost: polská

Nebudiž jmenovanému v cestě činěno obtíží a překážek, pokud by se jmenovaný nedopustil nějakých trestných činů.

Důvod vydání průvodního listu:

Návrat domů Volná jízda

Za místní Národní výbor :

Referent bezpečnostní služby NV: Předseda NV:

Poř. M.O. w Rodzinnem zezwala wyżej wym. osobie na przejazd do rzeszowa

Kom. M.O.

Chorzy więźniowie po odzyskaniu zdrowia w szpitalu Czeskiego Czerwonego Krzyża w Żeleznym Brodzie otrzymali przepustki umożliwiające im powrtót do domów.
Przepustaka Adama Grząskiego, wydana dnia 15 maja 1945 roku była jego pierwszym dowodem osobistym na wolności.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.1.27.2.

Więzień nieznany w pierwszy dzień wolności.
Odpoczywa i rozmyśla być może - o tym jak to
możliwe, że wszystko to co przeżył ma już za sobą

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.1.41.

liśmy się, co to było. Od wciągnięcia mnie do tej potwornej akcji uratowała mnie nikła postura, słaba znajomość języka niemieckiego i brak jakiejkolwiek więzi z lagrowym, blokowym i lekarzem. Ocenili, że nie jestem im potrzebny. Nie umiem odpowiedzieć na pytanie, czy gdyby nie opatrzność losu zostałbym wtedy bohaterem,czy nikczemnikiem. Czym zgładzili chorych, dowiedziałem się później. Blokowy Heinz za jakieś wykroczenie złamał szczękę młodemu, dobrze zbudowanemu Polakowi.Ze względu na to, że personel techniczny fabryki, opierając się na przypadku kolegi Henryka Uchmana, zwrócił uwagę funkcyjnym, nadzorującym pracę więźniów, że nie życzy sobie pobitych mało wydajnych robotników, blokowy zabrał go ze sobą do ambulatorium. Stamtąd chłopak skierowany został na rewir. Przyszedł zrozpaczony, głośno biadając: "otruli mnie". Przez następne dwa dni poważnie zaniemógł. Trzeciego dnia na obchód przyszedł lekarz z blokowym. Ten, widząc swą ofiarę, zwrócił się do lekarza: "Ich will ihn nicht mehr sehen" - Ja nie chcę go więcej widzieć. Po obchodzie lekarz polecił mi przyprowadzić chorego do ambulatorium. Kazał mu usiąść na ławce, wziął ze stołu strzykawkę i zrobił mu zastrzyk w rękę. Chory osunął się na ziemię. Zapytałem wtedy lekarza, co mu podał. Odpowiedział "sublimat" i polecił mi wrócić na rewir.

Wprowadzono zwyczaj likwidowania chorych więźniów na skutek pobicia w obozie w obawie przed donosem, że pozbawiają siły roboczej w fabryce. Początkowo blokowy sam, a potem wspólnie z lekarzem zaczęli likwidować więźniów rewiru, zastrzykując im przy pomocy lekarskiej strzykawki sublimat. Odbywało się to na na izbie przyjęć w której mieszkał lekarz, naprzeciw rewiru. Na polecenie blokowego kilku więźniów zorganizowało chór, który podczas uśmiercania chorych śpiewał pod drzwiami niemieckie piosenki:

Wilkommen frohe Sänger
Seid gegrüsst euch tansend Mall
Doim roten Bächer Weine
Unser Freundschaftsbund erneut
la la la la la la
Unser Freundschaftbund erneut

co w tłumaczeniu brzmi:

Witajcie weseli śpiewacy
Bądźcie witani tysiąc razy
Przy czerwonym kubku wina
Nasz związek przyjacielski się odprawia
la la la la la la
Nasz związek przyjacielski się odprawia

albo

Wem die Liebe nicht wäre
Wäre der Kinderwagen lehr
Und der Storch müsste stempel gehen
Darum wollen uns lieben
Und den Kinderwagen schieben

w tłumaczeniu:

Gdyby miłość nie istniała
Byłby dziecięcy wózek pusty
A bocian musiałby chodzić stemplować
Dlatego chcemy się kochać
I ten dziecinny wózek pchać

albo

Mit Humor mit Humor
Kommt der alles leichter vor
Ob in Osten ob in Westen
Doch zu Hause ist am besten
Hummel, Hummel mit Humor

co oznacza:

Z humorem z humorem
Wydaje się wszystko lżejsze
Czy od wschodu czy od zachodu
Jednak w domu jest najlepsze
Humel, humel z humorem

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.3.1.

Przytoczony przez Adama Grząskiego napis nie zachował się. Natomiast pozostała na ścianie wewnętrznej baraku Komanda Gablonz tylko ten napis. Zdjęcie wykonano w 1980 roku.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.2.8.

Stanisław Korba
P - 85051

ZE WSPOMNIEN O KOMANDO GABLONZ

Z więzienia w Kielcach, gdzie byłem przesłuchiwany i torturowany, więziony w Częstochowie, Lublińcu i Wrocławiu dowieziono mnie do obozu Gross-Rosen. Tu od 3 listopada 1944 roku zostałem więźniem Nr 85051.

Po paru dniach z bloku 19 przeniesiono nas do bloku Nr 8, na którym otrzymaliśmy pasiaki. Dowiedziałem się, że będziemy wywiezieni z Gross-Rosen do filii obozu, ale nie mówiono gdzie. Tą wiadomością ucieszyłem się, ponieważ bałem się bardzp, by nie skierowano mnie do pracy w kamieniołomach. W czasie pobytu w obozie wykonywałem różne prace porządkowe na terenie obozu, w związku z tym miałem możność zaobserwowania jak na każdym kroku ginęli więźniowie.

Pewnego dnia pracując w pobliżu rewiru byłem świadkiem wywożenia zmarłych więźniów do krematorium. Jeden z niesionych na noszach jeszcze się poruszał i wołał "gdzie mnie niesiecie?" Ja chcę żyć ..... a jednak z każdym krokiem idących był bliżej krematorium.

W połowie listopada wywołano mój numer obozowy i numery moich kolegów oraz innych więźniów, uformowano przy drodze głównej grupę około 500 do 600 więźniów, wydano dla każdego po kawałku chleba, wyprowadzono nas z obozu i ppmaszerowaliśmy na stację kolejową, gdzie wsiedliśmy do podstawionych wagonów towarowych. W wagonie, którym jechałem pilnowali nas dwaj w starszym wieku esesmani. Traktowali nas dość względnie, nawet nie zjedzone przez nich odkrojone skórki chleba dali więźniom. Z Gross-Rosen do Gablonz jechaliśmy dwa dni, po drodze mieliśmy dłuższe postoje na bocznicach kolejowych.

Do Gablonz przyjechaliśmy wieczorem. Umieszczono nas na strychu w dość wysokiej więźbie dachowej budynku, w którym na dole mieściła się stołówka dla pracowników fabryki i magazyny. Budynek ten był usytuowany na terenie o dość zróżnicowanej konfiguracji, od południa poziom terenu był wyższy, a od północy niższy. Do naszego bloku - pomieszczenia wchodziło się od strony zachodniej po stromej drodze i schodach. Po prawej stronie korytarza mieściły się pokoje dla esesmanów i magazyn gospodarczy, a zanim było ustawionych kilka piętrowych łóżek dla chorych tzw. rewir. Po lewej stronie była kuchnia, a za kuchnią umywalnia, a za kuchnią z tyłu ubikacja, w których mieszkali küchekapo i blokowy, następnie zbito z desek długie stoły i ławki, przy których więźniowie spożywali posiłki i odpoczywali w godzinach wolnych od pracy. 3/4 pomieszczenia strychu zajmowały dwupiętrowe łóżka. Przed udaniem się do snu należało na stołach złożyć ubranie-pasiak ułożony w kostkę z widocznym numerem więźnia na wierzchu, a trepy /trzewiki sznurowane na drewnianych spodach/ stawiało się na podłodze.

Po przyjeździe i wejściu do bloku wydano nam kolację.Byłem głodny, więc zjadłem wszystko; przypomniałem sobie w czasie jedzenia słowa przestrogi więźnia z Gross-Rosen: "jeśli chcesz żyć i przeżyć to musisz jak najszybciej dostosować się do istniejących warunków w obozie, mieć oczy nazędzie otwarte, nie pchać się do przodu i nie pozostawać w tyle, zjadać wszystko co otrzy-

masz, bo w żołądku jest pewne, natomiast skradzionego nie będziesz oglądał bo ci ukradnę. Słowa te utkwiły mi w pamięci i często w różnych sytuacjach mając je na uwadze uchroniłem się od przykrych niespodzianek.

Na drugi dzień pracując w fabryce dwóch moich kolegów zwierzyło mi się, że w złożonych ubraniach w kostkę schowali sobie po kawałku chleba. Na drugi dzień, gdy się ubierali stwierdzili, iż w nocy ukradli im schowany chleb.

W fabryce będącej filią zakładów "Zeissa" w Jenie wykonywaliśmy elementy do reflektorów przeciwlotniczych. Ja pracowałem przy szlifierce.

W Gablonz poznałem i zaprzyjaźniłem się z więźniami: inż.Gwidonem Maro z Kielc, Rolandem Lenertem z Tych - obydwaj pracowali jako elektrycy i mieli uprawnienia poruszania się po całej fabryce - Zygmuntem Ołubcem z Bilczy k/Kielc /zmarł w końcu kwietnia 1945 r. w Gablonz/, Zbigniewem Mleczko z Krakowa oraz więźniem - nazwiska nie pamiętam - który przyjechał w styczniu 1945 r. z Oświęcimia w grupie 80 więźniów. Gdy pracowaliśmy w fabryce na noc na zmianę, to po przybyciu do bloku zaraz po śniadaniu udawaliśmy się na koniec bloku, między łóżkami rozkładał mapę Europy i informował mnie, gdzie znajduje się dront wschodni oraz które tereny na froncie zachodnim są zajęte przez wojska alianckie. Wiadpmości te niezwłocznie przekazywałem swoim kolegom, bowiem wieści o zbliżającym się końcu wojny poprawiały nastrój więźniów.

W porównaniu do centralnego obozu Gross-Rosen w Gablonz warunki były o wiele lepsze pod względem pracy, bo praca w fabryce była łatwą, nie wymagała wysiłku fizycznego, a nawet interesująca, gdyby tę pracę wykonywało się w warunkach swobody a nie niewolniczych. Przy szlifierce,na której pracowałem,stała mała szafka, w niej były różne narzędzia i przyrządy jak suwmiarka, mikromierz i inne.

Obrabiane przez więźniów wyroby - półfabrykaty były sprawdzane przez majstrów czy zostały wykonane zgodnie z instrukcją. Na odrzucone braki niektórzy patrzyli z przymróżonym okiem lub zwracali więźniom uwagę, by starali się wykonywać pracę dobrze. Ale byli majstrowie,którzy za jakiekolwiek niedociągnięcia stwierdzone w produkcji wołali postów a wraz z nimi zjawiali się kapowie i bili więźniów już na terenie fabryki.

Od połowy stycznia 1945 r. fabryka nie była ogrzewana, w bloku też było zimno, które oprócz głodu i wszy dokuczało więźniom bardzo. Stojąc w fabryce przy maszynie trzeba było nacierać ciało rękami na nogach i ramionach, bo z zimna nie można było stać bez ruchu. Drugi więzień pracował na innej maszynie za moimi plecami. Odstępowaliśmy od maszyn i stykaliśmy się plecami do siebie, by się wzajemnie ogrzać lub ogrzewaliśmy się przytulając do korpusów maszyn, które pracując były ciepłe. Ale gdy w takiej sytuacji spotkał więźnia majstee lub kapo, więzień otrzymywał lanie. Po pracy każdy więzień obowiązany był przeszukać bieliznę i oczyścić ją ze wszy. Jeżeli w czasie kontroli znaleziono w jego bieliźnie insekty, kładziono go na ławie, dwóch więźniów trzymało go za głowę i nogi przechylając go tylną częścią ciała do góry, wymierzano mu tyle uderzeń gumowym wężem ile znaleziono u niego wszy.

Również często w nocy zarządzano apele w bloku.

Na środek pomieszczenia pędzono zbudzonych ze snu, kapowie i inni pomocnicy uzbrojeni w kije i gumy bili więźniów. Po takiej gonitwie kilku więźniów zostało rannych. Więźniowie najbardziej byli bici przez kucharza Küchekapo oraz kapów rekrutujących się z

Maj 1978 roku - delegacja byłych więźniów komanda Gablonz za chwilę złoży wieniec na mogile zbiorowej pod pomnikiem. W oddali widać zabudowania fabryczne w których pracowali więźniowie. Na pierwszym planie od lewej Jadwiga Więckiewicz /straciła w obozie brata/, Bernard Laskowski - nauczyciel z Grudziędza, Zofia Salomonowska - wdowa po więźniu, obok stoją: Stanisław Korba i Gwidon Maro z Kielc, na dalszym planie Vaclav Dvorak - sekretarz OV CSPB w Jablonec w rozmowie z Mieczysławem Mołdawą. W głębi Zenon Karpiński, Edward Krentzel, Eligiusz Grodzki i Jan Dudek - wszyscy z Warszawy.

foto archiwum Gross-Rosen 3.1.2.22.

więźniów radzieckich, a wśród nich Gruzin - Janek i Ukrainiec Saszka. Ci dwaj byli postrachem wszystkich więźniów w fabryce i w bloku. Blokowym był więzień narodowości niemieckiej. Chodził elegancko ubrany, spał w pojedyńczej sztubie, którą sprzątali mu więźniowie.

Pewnego razu siedząc po pracy w ławkach zauważyliśmy, że blokowy wyszedł ze swego pokoju w ładnej wełnianej podkoszulce i spodniach pasiakach, uszytych z lepszego materiału wyprasowanych w kanty jak szasery, muskuły drgały mu jak mięśnie tygrysa, w ustach trzymał nie dopalonego papierosa. Przechodząc obok ławek rzucił tego papierosa na betonową podłogę. Na leżący niedopałek rzuciło się kilku więźniów. Błyskawicznie wpadł między nich uderzając kilku rękami i nogami. Odskoczyli na miejsce krzycząc z bólu więźniowie, jeden został na miejscu zabity, gdyż leżąc już otrzymał kopniaka w skroń i w gardło pod dolną szczękę. Był to starszy więzień - uczestnik Powstania Warszawskiego.

W drugiej połowie stycznia 1945 r. przerwano pracę w fabryce i zarządzono alarm na bloku. Wydano każdemu więźniowi po bochenku chleba i zakomunikowano nam, że będziemy pieszo maszerować do obozu koncentracyjnego w Dachau, odległego od Gablonz około 400 km. W warunkach zimowych chyba nikt by nie dotarł do tego obozu. Po kilku godzinach alarm został odwołany. Zabrano więźniom resztki chleba, jeśli któryś z więźniów zatrzymał sobie kromkę chleba na gorszą godzinę. Przez 4 dni nie otrzymywaliśmy przypadających nam porcji chleba.

W lutym i marcu w każdą niedzielę wyprowadzano nad na plac za blokiem i tam wykonywaliśmy biegi i ćwiczenia na śniegu. Po powrocie z takiego "spaceru" dawano nam mrożoną mocno paprykowaną surową sałatę, a później zimne piwo, po spożyciu tej sałaty i piwa wielu więźniów szło na rewir i stamtąd już nie wracali. Zmarłych i zabitych więźniów chowano w papierowych workach we wspólnym grobie, który mieścił się za blokiem.

Na początku kwietnia jeden z radzieckich więźniów zbiegł pracując w grupie poza terenem fabrycznym. Przy pomocy ludności cywilnej schwytano go i po dwóch dniach przywieziono do nas. Przykro było patrzeć jak na naszych oczach znęcano się nad nim, gdy już był mocno zbity zawiązano mu ręce wykręcone do tyłu i za przeguby rąk został powieszony w naszym bloku na linie uczepionej przy belce. Wisiał całą noc i w nocy skonał. Na betonie była tylko niewielka kałuża krwi, która sączyła mu się z nosa i ust.

W kwietniu 1945 r. w fabryce pracowała tylko jedna zmiana. Ja z innymi więźniami pracowałem na torze kolejowym. Pewnego dnia,a było to pod koniec kwietnia pracowaliśmy obok siebie chyba z Bernardem Laskowickim z Grudziądza, a pilnował nas młody post i powiedział abyśmy się odsuwali od grupy, po tej czynności zapytał, który z nas zna język francuski. Wówczas Bernard powiedział, że nie tak dobrze zna, ale może się porozumieć. Post rozmawiał z nim w języku francuskim. W odpowiednio nadarzającej się chwili Bernard przetłumaczył mi jego wypowiedź. "Już niedługo będziecie się męczyć, lada dzień zostaniecie uwolnieni".

Zdaje mi się, że 5 maja wracając z pracy na torach zauważyliśmy w Gablonz na budynkach, w których mieściły się urzędy, wywie-szone flagi przewiązane kirem, a na tablicach do wywieszania plakatów były nalepione ogłoszenia zawiadamiające o śmierci Hitlera i, że dowództwo nad armię niemiecką przejął Dönitz. W bloku siedzieli więźniowie z pierwszej zmiany, którzy tego dnia nie poszli do pracy w fabryce.

Wywożono nas z Gablonz wagonem towarowym kilka kilometrów poza miasto i tam na pewnym odcinku podbijaliśmy kamieniami podkłady kolejowe pod szynami. Pewnego dnia nie przyjechał po nas pociąg towarowy, więc pod wieczór wracaliśmy pieszo niosąc dwóch zmarłych przy pracy więźniów i kilka chorych, którzy nie mogli o własnych siłach iść. Przechodziliśmy przez pewną osadę, gdzie mieszkały i pracowały tam wywiezione polskie kobiety. Gdy nas zobaczyły, zaczęły płakać i mimo rozkazów wydawanych przez esesmanów "Raus-raus" rzuciły nam parę kawałków chleba. Esesmani już nie okazywali swojej agresywności i buty, jaka cechowała ich przed tym.

8 maja rano wydano nam po pół bochenka chleba, jeśli ktoś chciał mógł pobrać z magazynu podręcznego nowe trzewiki i bieliznę. Więźniów, którzy czuli się na siłach maszerować kilkadziesiąt kilometrów, ustawiono w szeregu. Tak zgrupowaną kolumnę więźniów wyprowadzono z bloku pod eskortą esesmanów i prowadzono nas drogą, a później szosą w stronę Tanenwaldu. Początkowo sądziliśmy, że wyprowadzają nas za miasto do lasu by nas rozstrzelać. Na drodze spotykaliśmy wojsko niemieckie i własowców maszerujące i jadące w różnych kierunkach. W lasach słychać było strzały. Koło godziny 13 doprowadzono nas do mostu na rzece przed Tanenwaldem i tam przekazano nas przedstawicielom Czeskiego Czerwonego Krzyża.

W Tanvaldzie Czesi przygotowali dla nas dietetyczne posiłki i nocleg. Nareszcie byliśmy wolni. Z Edkiem Krentzelem ucałowaliśmy się z radości, umyliśmy twarze w strumyku i poszliśmy do stołówki na przygotowany posiłek. Krupnik, chleb z dżemem i kawa była dla nas obiadem i kolacją. Na drugi dzień pomaszerowaliśmy do Żelaznego Brodu. Resztę więźniów z bloku i chorych z rewiru w dniu 9 maja Czesi przywieźli samochodami i umieścili w szpitalu w Żelaznym Brodzie. Czesi otoczyli nas troskliwą opieką. Zawszone pasiaki i bieliznę obozową zdjęliśmy na placu przy fabryce w Żeleznym Brodzie i tam odzież ta została spalona. Nas zaprowadzono do łaźni, wykąpaliśmy się i otrzymaliśmy świeżą odzież i bieliznę oraz skórzane obuwie.

W Żeleznym Brodzie byłem około 5 dni. Otrzymałem od władz miejskich przewodni list uprawniający mnie do wolnego przejazdu i wraz z paru kolegami z obozu wyruszyliśmy w drogę do Polski. Oni jechali do Warszawy, ja do Kielc.

Do domu rodzinnego w Micigoździe dotarłem dopiero w końcu maja. W drodze zachorowałem i leżałem w szpitalu na Śląsku - w Rybniku. 12 czerwca 1945 r. zgłosiłem się do Polskiego Czerwonego Krzyża w Kielcach. Tam zostałem zbadany przez lekarza, który stwierdził u mnie zacieki górnych szczytów płuc oraz inne objawy różnych dolegliwości poobozowych. Długi czas byłem na diecie, a nogi puchły mi w kostkach do kolan przez długi czas. Często przyjeżdżał do mnie wójt gminy Piekoszon prosząc mnie bym powrócił do pracy w Urzędzie Gminnym, bo odczuwają brak pracowników. W lipcu przystąpiłem do pracy w Zarządzie Gminy Piekoszów i od tej pory pracowałem bez przerwy aż do września 1978 r.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.3.8.

Młody więzień Polak otrzymał
pierwszy posiłek na wolności

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.1.46.

Kuczewski Stanisław
P - 68146

WSPOMNIENIE Z OKUPACJI

Ponieważ, że znam wspomnienia innych Kolegów z racji, że jestem członkiem redakcji wydawnictwa "Przeżyliśmy Gross-Rosen" ograniczam się w faktach ażeby się nie powtarzać.

Do Niemiec zostałem wywieziony w maju 1944 r./miałem wtedy 15 lat/,pracowałem przy budowie w Hartmanedorf koło Erkner. Uciekałem atamtąd do Polski ale mnie zatrzymano przy przejściu granicy GG koło Kutna. Na pytanie żandarma co ja tu robię odpowiedziałem, że w Warszawie mieszkanie zburzone a ja jadę do Niemiec na roboty. Dali mnie zjeść a na drugi dzień przekazano mnie do jadącego transportu. Znalazłem się w Luckenwalde niedaleko miejscowości Bitterfeld. Po umówieniu się z kol. Gieńkiem Zawodzińskim, którego znałem z W-wy,we wrześniu uciekaliśmy w stronę Szwajcarii. Zatrzymano nas już niedaleko granicy. Na pytanie co tu robimy, ta sama odpowiedź - szukamy pracy. Podaliśmy inne nazwiska - ja Kwiatkowski - on Paszkowski, ale widocznie nam nie uwierzono. Zaprowadzono nas do budynku policji - kazano czekać. Przez ten czas zjedliśmy swoje dokumenty na których były nasze prawdziwe nazwiska. Wzywano nas pojedyńczo, przesłuchiwano i dokonano rewizji, przy mnie znaleziono bilet kolejowy z Rizy koło Drezna, powiedziałem, że go znalazłem, ale widocznie w to nie uwierzono, gdyż po dwóch dniach pod eskortą zostaliśmy przesłani do Prezydium Policji w Oreznie. Przez 3 tygodnie przesłuchiwano i bito mnie do utraty przytomności w dzień lub w nocy. Straciłem zęby i byłem cały siny i pokaleczony. Siedziałem na zmianę raz w celi suchej tak, że z gorąca pękały wargi, raz w celi, gdzie była woda na podłodze. W październiku 44 r. zostałem przesłany razem z kol. Gieńkiem do Gross-Rosen. Straciłem nazwisko, stałem się numerem. Przesłani zostaliśmy na blok 10. Blokowym był Tadek - Polak. Zaraz w tym samym dniu lub nazajutrz po przybyciu stało nas kilku przed blokiem; przechodził esesman, ja nie zdjąłem przed nim czapki i nie stanąłem na baczność - Niemiec zaczął krzyczeć i wtedy podbiegł do mnie blokowy i uderzył mnie w okolicę żołądka, zrobiło mi się ciemno i poczułem ból. Za pewien czas zawołał mnie do swojego pokoiku i zaczął przepraszać, tłumaczyć i wypytywać się skąd zostałem przywieziony, odpowiedziałem że z W-wy a ostatnio z więzienia i pokazałem mu swoje plecy i ręce. Do pracy w kamieniołomach nie chodziłem, sprzątałem w bloku, koło bloku, latrynę która była w pobliżu bloku oraz przywoziłem posiłki. Ale przed samym wyjazdem byłem w pracy w kamieniołomach raz lub dwa razy. Tak że znam tę pracę nie tylko z opowiadań. Do pracy i z pracy szliśmy kolumnami po 5 osób w rzędzie w tempie marsza, "na baczność". Zmorą obozową były apele szczególnie te wieczorowe. Stanie w samych pasiakach, obojętnie czy to było zimno, padał deszcz lub silny wiatr. Nieraz staliśmy do późna w nocy podtrzymując chorych lub martwych kolegów aż Niemcom zgadzał się stan. Koło naszego bloku były podwójne druty kolczaste pod napięciem, a pomiędzy nimi tory po których więźniowie z karnej kampanii wozili kamienie. Zawieźli w jedną

stronę wagonik; przez przechylenie wyładowali. Załadowali na powrót tę samą porcję i tak przez cały dzień. Niektórzy nerwowo nie wytrzymywali, szli na druty - ginęli. W początkach listopada 1944 r. zostałem przewieziony na komando Gablonz. Był to transport około 500 osób. Byli to uprzednio wybrani fachowcy. Ja wówczas byłem uczniem gimnazjum mechanicznego z Warszawy w zawodzie frezera. Zostałem przydzielony na dzieł frezerski. Działy były od siebie odgrodzone siatką tak, że z działu na dział nie można było przejść. Było to także niemożliwe ze względu na obecność kapo, wartowników lub majstra, któremu trzeba było się meldować przy wyjściu za swoją potrzebą.Poza tym każdy z nas miał przyczepioną do pasiaków /oprócz numeru więźnia/ okrągłą blaszkę o śr. 40 lub 50 mm malowaną na kolor, który obowiązywał na danym dziale; np. frezerzy biały kolor, tokarze czerwony kolor itp /lub odwrotnie/. Zresztą czasu na chodzenie nie było, a można było narazić się na dodatkowe bicie. W fabryce wykonywaliśmy części do pistoletów automatycznych /typ szmaiser - rozpylacz/i części do reflektorów. Zorientowałem się od początku, gdyż po szkole umiałem czytać rysunek jak i znałem trochę język niemiecki. Pracowaliśmy na dwie zmiany od 6^{00} do 18^{00} i od 18^{00} do 6^{00}. Nie było specjalnej grupy sabotażowej ale psuliśmy co się da; - detale lub narzędzia skrawające. Na baraku rozmawialiśmy o tym i w zaufaniu jeden drugiemu przekazywał jak można psuć nie narażając się na represje ze strony nadzoru. Wykonywaliśmy dla siebie cygarniczki, pierścionki, nożyki i tp. W moim wieku było kilku chłopców razem z ojcami, a mną że tak można to nazwać opiekował się Gurgul Kazimierz z Nowego Sącza /piekarz/ z którym pracowałem na jednej zmianie. Można było dostać pałką gumową lub drewnianą, wyróżniał się tym mały wzrostem i koślawy, którego zwaliśmy "piplem". Będący na funkcji w Gablonz Jaszka i Ukrainiec Szaszka byli także postrachem więźniów /jeden z nich jak się później dowiedziałem został rozstrzelany przez Czechów/. Zmorą naszą były wszy, ktoregoś dnia kapo zapowiedział, że za 2 wszy daje papierosa i tak było. Zebrało się dużo więźniów jak najbliżej światła, ja także i swoje wszy dałem jednemu lub dwóm kolegom, gdyż ja nie paliłem papierosów. Kapo zebrał tych wszystkich na środek baraku i zamiast papierosów kazał skakać żabką,naokoło stali wszyscy funkcyjni i bili czym kto miał i gdzie popadło. Dużo kolegów było ciężko pobitych i skopanych. Proszę wyobraźcie sobie moje uczucie, do dzisiejszego dnia mam wyrzuty sumienia i jak załatwiam jakąś sprawę analizuję czy nie skrzywdzę innej osoby. Dobrze tego nie pamiętam, ale w jakieś święta otrzymywaliśmy dodatkowo po trzy lub cztery ziemniaki w mundurkach z tego 1 lub 2 nadawały się do zjedzenia, ale dla nas był to rarytas i wszystko było zjadane. Kilka razy byłem obierać brukiew /ziemniaki dla Niemców/. Przychodząc z obieralni küchenkapo kazał nam przemycane kawałki brukwi i ziemniaki składać na kupkę i byliśmy poddawani rewizji, przy kimś coś znaleziono - baty. Küchenkapo gotował nam zupę z tych produktów razu jednego na psie./Słyszałem że tego psa zabił Kazio Jastrzębski ale jak było naprawdę nie pamiętam/. Zupa ta była ugotowana w kotłach przeznaczonych do gotowania bielizny ale jak sobie przypominam pranie odbywało się przez zamaczanie i wkładanie na siebie mokrego ubrania. Blockführerem był esesman ze Śląska, poprawnie władający językiem polskim, nazywaliśmy jego "pięćdwadzieścia" /gdyż za przewinienie kazał dawać tyle batów - 25/, i nie wiem dlaczego kazał nam śpiewać w ojczystym języku "Góralu czy ci nie żal.." śpiewaliśmy tę arię za barakiem na małej polance jednocześnie susząc na sobie "uprane" pasiaki.Staliśmy

tak na śniegu i chętnie to śpiewaliśmy. W czasie takiego jednego śpiewania blockfürer zakatował na śmierć jednego z więźniów dlatego, że ruszał ustami a nie śpiewał /nie był to Polak więc skąd mógł znać słowa tej piosenki/. Uczono nas piosenek w języku niemieckim, jedna z nich wychwalała przełożonych, druga zaś była w rytmie marsza i mówiła o tym, że jesteśmy dobrymi pracownikami i chętnie pracujemy.

Wir heute fröchlich singen
Seit grgrüsst vieltausen mal
Der heutige Tag zum ehren
Das singen das ist lauter shall
Tra la la tra la la

Wir sind Arbeiter von Lager Reinowitz
Darumran alle Mann
Früh um sechs fängt bei un die Arbeit an
Darum ran alle Mann.

Tę ostatmią piosenkę śpiewaliśmy chodząc naprawiać tory kolejowe.

Na krótki czas przed wyzwoleniem skaleczyłem sobie nogę, zaczęła mnie puchnąć i ropieć. Zgłosiłem się na rewir ale sanitariusz Adam nie kazał pokazywać tej nogi doktorowi, pomagał mnie w jakiś sposób owinął bandażem papierowym i kazał iść do pracy. Nadszedł dzień wyzwolenia była to dla mnie potrójna radość urodziłem się 7 maja, imieniny 8 i wolność. Przy pomocy kolegów z ledwością doszedłem do Tanwaldu. Pozostanie na rewirze jak i nienadążanie iść razem z kolumną groziło śmiercią, takich esesmani bezpardonowo zabijali. Ludność czechosłowacka witała nas serdecznie, wynosili nam do jedzenia co kto miał. Widziałem jak jeden więzień wypił prawie cały kubełek polewki /zupy/ i w męczarniach skonał. Zostałem umieszczony w szpitalu /budynek szkolny/ w Żeleznym Brodzie dowiedziałem się, że mam w nodze gangrenę. Dostałem świeżą krew. Poza dyplomowanymi pielęgniarkami opiekowała się mną Adela Duchaciova-mieszkanka Żelaznego Brodu. Jak już się dobrze czułem byłem kilka razy u jej rodziców w domu.

W m-cu lipcu 1945 r. wyposażony w zapasowe ubranie /mundury poniemieckie/ dwie pary butów, bieliznę osobistą i pościelową oczywiście i w jedzenie serdecznie żegnany wyruszyłem do Polski. Po przekroczeniu granicy, pod pozorem szukania broni zostało mi wszystko zniszczone lub wyrzucone przez okno jadącego wagonu. Nawet taki mały domek ze szkła, który dostałem na pamiątkę od Adeli został rozbity a druciki żółtego koloru wzięte jako "zołoto". Przy pomocy współwięźnia Rosjanina, który miał na imię Paweł zgłosiłem ten przypadek do NKWD - obiecali pomóc albo jak ich zobaczę zgłosić. Chodziłem po danej miejscowości /obecnie nie pamiętam tej nazwy/ pamiętam, że to była stacja końcowa i było dużo torów kolejowych. Za jedzenie ludzie kazali sobie płacić, a ja nie miałem pieniędzy ani w ogóle nic poza tym co na sobie: mundur poniemiecki, buty i bieliznę. Mówiąc, że wracam z obozu śmieli się ze mnie. Dowiedziałem się, że będzie pociąg do Warszawy już od stacji nie odchodziłem a po sformowaniu pociągu wsiadłem do wagonu i dojechałem do stolicy. Chociaż obiecałem, że niedługo powrócę do Adeli -obietnicy nie dotrzymałem, gdyż musiałem się zająć dwojgiem młodszego rodzeństwa, którzy byli sierotami. Z Adelą kilkakrotnie wymienialiśmy korespondencję. Kiedy była wycieczka do Żelaznego Brodu dowiedziałem się , że już nie żyje.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.3.12.

Żelezny Brod. Cmentarz. Czarna marmurowa tablica na zbiorczej mogile więźniów zmarłych po wyzwoleniu w maju 1945 roku w szpitalu Czeskiego Czerwonego Krzyża. Nazwiska są wykazane w spisie więźniów obozu Gablonz z zaznaczeniem: zmarł w Żel. Brodzie, maj 1945 r.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.2.18

Grupa więźniów Polskich często odwiedza miejsca martyrologii więźniów Gross-Rosen w Czechosłowacji. W maju 1978 roku wycieczka z Warszawy odwiedziła Żelezny Brod. Na zdjęciu delegacja z wiązanką kwiatów w drodze do zbiorowej mogiły. Od lewej Franciszek Zalega, Stanisław Kuczewski, Henryk Uchman

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.2.29

Eugeniusz Ruszkowski
P-2808.

Z HARTSMANDSDORF DO GABLONZ

W miesiącu lutym 1944 roku rozpoczęła się ewakuacja więźniów Komanda Hartsmandsdorf. Pierwszym transportem ciągnąc na zmianę wozy z dobytkiem załogi esesmańskiej wyruszył transport na zachód. Kilka dni trwał ten marsz śmierci, gdyż słabszych więźniów dobijano w drodze. Więźniów transportowano w kierunku Buchenwaldu. W Zittau oddzielono grupę 30 więźniów-fachowców i skierowano w kierunku Komanda Gablonz. W tej grupie był również Eugeniusz Ruszkowski, który tak opisuje dalsze swoje losy.

Zdziesiątkowani, dotarliśmy do przedmieść Zittau. Miasto płonęło, na noc ulokowano nas w jakiejś rozbitej hali fabrycznej, a rano ogłoszono, że będą wybierać primadraherów /najlepszych tokarzy/ do fabryki Luftwaffe. Byłem na przodzie kolumny, nasi oprawcy nie wiedzieli, co z nami robić, zaczęli więc okrutnie bić. Pamiętam tylko rozwścieczone oczy jakiegoś wachmana z pałą w ręku, zostałem uderzony w czaszkę, upadłem, czułem jeszcze, że jestem rozdeptywany i straciłem przytomność. Jakby przez sen usłyszałem słowa:"wo ist nr 2808", a gdy otwarłem oczy, zdałem sobie sprawę,że leżę pod ścianą hali, a cały obóz już mija bramę. Do mnie nagle podbiegło dwóch żołnierzy w mundurach Luftwaffe, ucieszonych, że mają ten nr 2808. Okazało się, że jakimś cudem znalazłem się w grupie 30 oddzielonych od obozu, który pognano do Buchenwaldu/jak się później dowiedziałem/. Świadomość, że nie ma nad nami SS-manów i psów postawiła mnie na nogi. Każdy dostał bochenek wojskowego chleba, ćwiartkę margaryny i kompania żołnierzy Luftwaffe, pod dowództwem sierżanta, mówiącego z czeskiego po polsku, odprowadziła nas na południowe przedmieście Zittau. Po godzinnym postoju, wolnym krokiem ruszyliśmy na nową drogę życia.

Maszerowaliśmy 2 dni, z noclegiem w jakimś lesie i pod wieczór drugiego dnia dotarliśmy do miasta Gablonz-Reinowitz. Dobra opieka żołnierzy skończyła się, oddali nas w ręce obsługi złożonej z esesmanów, która pilnowała nowego obozu i hal fabrycznych, gdzie produkowano reflektory obrony przeciwlotniczej. Zamiast baraków obóz urządzony był na poddaszu olbrzymiej hali fabrycznej, apelplatz również był pod dachem. Po przyjęciu na bramie fabrycznej, droga do obozu rozmiękła po opadach, szła pod górę. Na przywitanie dostaliśmy około stu razy "hinlegen i auf". Wymęczeni marszem śmierci, utytłani w błocie, byliśmy wpędzeni po jakimś pomoście na teren obozu. Z miejsca zdarto z nas ubranie, bieliznę, drewniaki i do waschraumu, bez jedzenia zapędzono nas po dwóch pod jednym kocem na cuchnące wyra. O 3 rano pobudka, przydzielono nam okropnie podarte ubranie, coś niby drewniaki na nogi i do roboty, do hali odległej około 50 m od obozowego poddasza. Przydzielono nas do maszyn tokarskich przestarzałego typu, przy których praca była bardziej wyczerpująca, a wymagania majstrów większe niż w Hartmansdorfie. Po 12-godzinnym dniu pracy, na obozie nie było już sportu, ale nękały nas okropne wszy, z którymi nie mogliśmy sobie poradzić. Po pracy dwie - trzy godziny trzeba było siedzieć nago i szukać robactwa. Po codziennym wybiciu dziesiątek gnid i wszy ubranie i bieliznę kontrolowali kapowie za pomocą bardzo silnych lamp.Wszy

były w stołach, w pryczach, a bieda temu, kogo kapo podał, że nie wybił wszy w ubraniu. Ubranie zabierano takiemu więźniowi do parowania, a jego wprowadzano do pomieszczenia z betonu szerokości 1 m i z góry, z rur, puszczano na przemian lodowato zimną i gorącą wodę, tak że skóra płatami schodziła. Po godzinie takiej kuracji wszy ginęły, ale więzień już nie był w stanie żyć. Dostawał wyparowaną bieliznę, ale zamiast wszy zaczynała się gorączka, opuchlizna i koniec. Jednego więźnia za znalezienie gnid we włosach, kapo utopił w wiadrze wody, trzymając tak długo jego głowę, aż skonał.

Plagą naszą byli w tym obozie kapowie przywiezieni z ewakuacji Oświęcimia. Byli to niemieccy kryminaliści z czarnymi winklami, nimi to wyręczali się SS-mani, bo sami bali się wszy i tyfusu. Nadeszła Wielkanoc 1945 r., fabryka świętowała. Cały obóz popędzili na tory kolejowe do czyszczenia podkładów z brudu i zielska. Tam to na dziesięciu więźniów dano kapo - mordercę z Oświęcimia, który się wyżywał bijąc, kopiąc, a obsługa SS z boku rechotała patrząc, jak to więźniowie sami siebie wykańczają.

Nad grupą, w której pracowałem, młody kapo, z zawodu rzeźnik, był bandytą z czarnym winklem. Mówił po polsku, chwalił się, jak jemu w Oświęcimiu było dobrze, jaki to był czysty obóz, zorganizowany na medal, nie tak jak tu, w Gablonz. Pod jego opieką byłem tylko jeden wielkanocny dzień i to już miałem szyję i plecy tak posiniaczone, że ledwo się przywlekłem do obozu. W kwietniu 1945 na ogólnym apelu ogłoszono, że z więźniów obozów koncentracyjnych chcą utworzyć pomocniczą armię, dają pół godziny do namysłu i odbędzie się komisja kwalifikacyjna. Po naradzie w grupkach koleżeńskich postanowiliśmy wszyscy stawać na tę komisję, bo nie wiadomo było, o co tu chodzi i co to za pomysł. W tym czasie było w obozie około 300 więźniów. Rozebrani podchodziliśmy kolejno przed stół, przy którym zasiedli w białych kitlach niby to lekarze, ale w mundurach SS. Padało pytanie: numer więźnia i w jakiej formacji wojskowej służył, po czym krytycznie popatrzeli na szkielety pokryte skórą i zapowiedzieli, że na urodziny ich wodzą /20 kwietnia/ będziemy już na lepszym, bo wojskowym wikcie. Na tym wszystko się skończyło. Co było celem tej imprezy, nikt nie wiedział. Po wszach klęską nr 2 obozu Gablonz był ogólny brak soli: wodniste nie solone zupy zdziałały, że szkorbutem objęci byli wszyscy więźniowie. Gdzieś w kwietniu jeden z wachmanów ułożył piosenkę zaczynającą się od słów: "Wird sind Arbeiter won lager Reinowitz" składającą się z 4 strofek i wychwalającą najwięcej lagerführera i wszystkich SS-manów. Komendanta obozu nazywał jasnym słoneczkiem, naszym ojcem. Musieliśmy uczyć się tych słów po niemiecku i, uderzając trepami w takt marszu, śpiewać, a tu przez gardło głosu nie można było wydobyć. Dwóch SS-manów nadsłuchiwało i kto nie śpiewał, to go na bok i bicie drągami do upadłego. Jeden pokraczny wachman, który może był twórcą tej piosenki, wykrzykiwał po polsku: "Wy bandyty nie chceta śpiwać ty piosenki, to chyba matka w domu ucyła was śpiwać. Pod Twoją Obronę, dali śpiwać do Ty swoi święty matki". Śpiewaliśmy więc i naprawdę był to śpiew płynący z głębi serca i duszy, a on jeszcze bardziej się wściekał, rycząc "To umita, a o swoim dobrym ojcu - komendancie to nie". Nigdy ta piosenka nie wyszła nam na medal pomimo szykan i różnych prób, nikt nie nauczył się słów na pamięć.

Na początku marca na apelu było 500 - 600 więźniów, a w dniu 8 maja wolność odzyskało około 100 więźniów. 1 maja nie miałem siły stać na wieczornym apelu, oberkapo zawlókł mnie na rewir, odgrodzony kocami od reszty obozu i ze słowami "zdychaj tu" zostawił

mnie na rewirze. Rano o 3 apel i słyszę, jak szukają nr 2808. Okazało się, że kapo zawlókł mnie na rewir, ale do raportu nie zgłosił tego ubytku. Dopadł mnie na rewirze oberkapo /przedwojenny bokser/, przyciągnął na apel i lewym prostym rozbił mi szczękę. Zachrobotały moje luźne już wtedy zęby, poczułem smak krwi w ustach i zwaliłem się pod nogi samego lagerführera. Kapo zaczął mnie jeszcze kopać, ale sumienie lagerführera nie wytrzymało; kopnął w tyłek oberkapo, a mnie rozkazał zanieść na rewir. Rewir - szpital obozowy - było to miejsce, z którego nikt nie wyszedł o swoich siłach; tam już nie dawano nawet tej wodnistej lury, więzień był skazany na długotrwałą mękę konania, zależną od wytrzymałości organizmu. Łóżka piętrowe zestawiono po dwa, więźniów kładziono po czterech. W ciągu pierwszych trzech nocy moi koledzy zmarli; z czwórki zostałem sam jeden. Nie miałem siły policzyć, ale myślę, że było nas na rewirze 30 do 40 chorych.

Nadszedł wreszcie dzień 8 maja 1945 roku. Pobudki nie było słychać, a około godziny 6 krzyki "ewakuacja". Z magazynów wydają lepszą odzież, trepy i szykują obóz do wymarszu. Leżę w przedśmiertnej gorączce i nagle przyszło do mnie dwóch kolegów jeszcze z Pawiaka i żegnają się ze mną. Ja ze łzami błagam ich o przyniesienie jakiegoś okrycia i wyprowadzenie mnie z rewiru,bo wiem, że rewir będzie zlikwidowany. W ogólnym chaosie ewakuacyjnym przynieśli mi pasiaki, myckę i trepy i wyprowadzili mnie do kolumny ewakuacyjnej opuszczającej już teren obozu. Podtrzymywany przez nich, miałem jeszcze tylko tyle siły, żeby nie upaść. Marsz ten trwał 600 - 800 m. na przedmieście Gablonz, gdzie spędzono nad na łączkę między mały strumień i główną drogę w góry. Momentalnie usnąłem, a sen ten na tyle mnie pokrzepił, że gdy usłyszałem okrzyk: "Alles antreten", przy pomocy tych samych kolegów stanąłem w szeregu. Nagle od gór słychać chrobot czołgów i z za zakrętu wyłażą 4 czołgi z czarnymi krzyżami. Już zaczęliśmy się żegnać, że to koniec, ale z jednego czołgu wychyliła się ręka z czeską chorągiewką i usłyszeliśmy okrzyk "na zdar". Byli to nasi wyzwoliciele, czescy partyzanci. Po przemowie lagerführera i cywila z opaską C.K. czołgi naszą eskortę SS-manów z psami pognali do miasta, a nasz cały obóz w mgnieniu oka się rozbiegł, pozostało dwóch, ja i kolega, którzy nie mieliśmy siły do ucieczki. Następnego dnia partyzanci czescy przewieźli mnie i kolegę do m. Żelezny Bród, a komisja lekarska przydzieliła nas do szpitala w Semile,gdzie zostaliśmy poddani intensywnemu leczeniu. 7 lipca 1945 r. przez Hradec-Kralove, Bohumin, pod serdeczną opieką lekarską, zostaliśmy odwiezieni do Polski.

Tyle utrwaliło się w mojej pamięci. Jak mogłem przeżyć to piekło? Tylko dzięki temu, że pomimo tych katuszy miałem siły do codziennej modlitwy i, prosząc Matkę Boską o przetrwanie, zostałem wysłuchany i tylko dzięki tym modlitwom doczekałem wolności. Przeżycia te spisałem dnia 21 marca 1985 roku.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.3.10.

8 maja 1945 roku. Po marszu ewakuacyjnym więźniowie zostali oswobodzeni w Tanvaldzie. Pierwszy ratunek oswobodzonemu więźniowi podaje życzliwa ręka

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.1.2.

Zdzisław Makowski
P-81420

MOJE WSPOMNIENIA Z OBOZOW KONCENTRACYJNYCH: MAUTHAUSEN, GUSEN, GROSS-ROSEN I GABLONZ

Nie będę tu opisywał Powstania i gehenny, przez jaką przeszli ludzie, którzy wyszli z Warszawy płonącej i zniszczonej. Wspomnienia moje zacznę od momentu wyjazdu z obozu przejściowego w Pruszkowie.

Załadowano nas do wagonów towarowych po 60 mężczyzn, starych, chorych, w średnim wieku i młodych. Po długim oczekiwaniu na bocznicy kolejowej na odjazd, w upale i zaduchu przy zamkniętych drzwiach i bez kropli wody, jedzenia i palenia, co słabsi zaczęli już walczyć o dostęp do okienka zadrutowanego drutem kolczastym, gdzie mieli nadzieję złapać więcej powietrza. Gdy pociąg nareszcie ruszył, w miarę nabierania rozpędu sytuacja stawała się nieco lepsza pod względem dopływu powietrza. Nie pamiętam jak długo jechaliśmy, ale ci, którzy stali bliżej okienka i znali większe miasta, stwierdzili, że jesteśmy w Częstochowie. Z innych wagonów dosłyszeliśmy pieśń "Kto się w opiekę" i my również zaczęliśmy śpiewać. Po jakimś czasie usłyszeliśmy niemieckie ryki "ruhe", ale kto by tam zwracał na to uwagę. Gdy na początku składu usłyszeliśmy strzały, pieśń początkowo przycichła, aby następnie ze zdwojoną siłą wybuchnąć na nowo. Nie pamiętam, w jaki sposób nasz wagon obiegła wiadomość, że Niemcy, nie mogąc uciszyć transportu, strzelali na oślep do wagonów. Ja jechałem w końcowych wagonach z Ryśkiem i Władkiem Paduchowskimi, Maćkiem Zenkiem Czerwińskim, Zbyszkiem "Czarnym", z którymi utworzyliśmy w kącie wagonu pakę. Po lekcji częstochowskiej zabraliśmy się do piłowania podłogi w wagonie, bowiem okazało się, że Władek /kiciasz, który załatwiał węgiel z wagonów na trasie Wawer-Radość/ ma piłkę do cięcia metalu. Niełatwa to sprawa wyciąć dziurę w podłodze wagonu; bardzo długo piłowaliśmy i dobrze każdy z nas się namęczył, a gdy otwór był gotowy, okazało się, że jesteśmy już poza granicą GG. Zastanawialiśmy się, czy skakać, jednak pozostali mężczyźni prosili nas, aby tego nie robić, bo jak Niemcy zobaczą brak 6 ludzi i dziurę w podłodze, zastrzelą wszystkich. Po dłuższej naradzie z całym wagonem odłożyliśmy tę sprawę na dalszy plan, tym bardziej, że współtowarzysze zaczęli nas przekonywać, że Niemcy wywiozą nas na roboty, nie ma więc potrzeby ryzykować życiem, bo o ile nie zastrzelą uciekających z karabinu maszynowego ustawionego na dachu ostatniego wagonu, to żandarmi nas natychmiast wyłapią. To właściwie nas przekonało, postanowiliśmy czekać na dalszy rozwój wypadków. Tymczasem pociąg minął już Ostrawę, a zatem byliśmy w Czechosłowacji. Nawet nie wiadomo, kiedy nastąpił zgon pierwszej ofiary podróży, która już nie wytrzymała trudów. Zwłoki Władek ułożył w rogu wagonu, przy okazji przejechał się po kieszeniach, ale nic nie znalazł. W taki sposób dojechaliśmy do Wiednia, gdzie pociąg zatrzymał się na bocznicy i eskorta otworzyła drzwi, pozwalając nawet wyjść z wagonów. Widocznie już nie obawiali się ucieczki pasażerów, skorzystaliśmy więc skwapliwie z okazji i pobiegliśmy do urządzenia,

które napełnia parowóz wodą. Tu, napiwszy się do syta wody, nieco się umyliśmy. Jeden z kolegów zaproponował, aby zorganizować coś do jedzenia, ale gdzie i od kogo? Okazało się, że jest również kilka wagonów kobiet, więc Rysiek i Władek, spryciarze co niemiara, nawiązali już kontakt i otrzymali trochę pomidorów, kilka papierosów i odrobinę cukru. Pożywiwszy się nieco, zaczęliśmy szukać znajomych i okazało się, że jest ich paru: Kazik, "Mrówka", Zbyszek "Mały" i jeszcze kilku, których jednak tak dobrze nie znałem. Ponieważ nie najgorzej znałem język niemiecki, koledzy prosili, abym porozmawiał z konwojentami, gdzie nas wiozą i co zamierzają zrobić. Upatrzyłem starszego wiekiem podoficera i nawiązałem z nim rozmowę. Według jego oświadczenia, mamy jechać do Linzu, gdzie nas odpowiednio, według zawodów, rozdzielą do fabryk. Staliśmy w Wiedniu około pół dnia, tzn. gdzieś od godz. 9^{00} do 16^{00}, kiedy padł rozkaz wsiadać. Jedziemy dalej. Zapada wieczór, jedziemy, jest 1 września 1944 r., pociąg gdzieś staje. Bardzo rano znów się zatrzymujemy, słychać szczekanie psów, wyglądamy przez okienka; okazuje się, że transport jest otoczony przez SS-manów z psami. Otwierają się drzwi, po dwóch stronach SS-mani z automatami, wrzeszczą: "aussteigen, ferfluchte polnische Banditen", nie szczędząc przy tym kopniaków i razów pejczami. Transport momentalnie wyładowano. Chciało mi się śmiać pomimo grozy sytuacji, ponieważ najbardziej chorzy przez całą podróż, najżwawiej wyskakiwali z wagonu. Ustawiono nas po 5 ludzi w rzędzie, czekamy. Rozglądam się, ładna stacja, czysto.Przed nami duża góra i droga wysadzona drzewami.Pomimo postanowienia trzymania się razem paką, okazało się to niemożliwe już w pierwszej chwili. Stoję w piątce obok "Mrówki", nie wolno rozmawiać, chłopcy są przed i za nami. Widzimy, jak w górę pnie się kolumna, a na górze widać jakiś dymiący komin. Pewno fabryka, o której mówił podoficer. Kolej na nas, ruszamy. W jednej grupie 100 ludzi, po bokach strażnicy z psami. Okazuje się, że droga jest dość długa i cały czas pod górę, a wydawało się tak blisko. W górach należy inaczej oceniać odległość. Sapiąc jak lokomotywy zbliżamy się do bramy z jasnego kamienia, tak jak i baraki.Uderza wprost idealna czystość. Ale co za dziwny napis, wykonany w półkole, nad bramą: "Arbeit macht frei". Cieszymy się, że odpoczniemy, a może się i wykąpiemy. Pada komenda "Achtung", nikt nie wie, co to znaczy. Przechodzimy przez bramę. Tu widać dziwnie ubranych w szaro-niebieskie pasiaki ludzi. Prowadzą nas w kierunku dużego baraku, za którym widać wysoki komin, a z niego bije czarny, ciężki dym. Nad barakiem napis: "Waschraum", a przed nim tłum ludzi.

Ukazują się więźniowie, którzy obejmują komendę nad nami i dopiero teraz objawia się w całej grozie miejsce, w którym się znajdujemy - obóz koncentracyjny Mauthausen.

Ponieważ praca i warunki życia w obozie zostały już dokładnie opisane w książkach, nie będę powtarzał ogólnie znanych szczegółów, dodam tylko, że ja również pracowałem w kamieniołomie i nosiłem kamienie do dalszej rozbudowy obozu. Pierwszy mój barak to B-24,którego blokowym był znany sadysta, Niemiec. Grupa nasza została rozdzielona, chłopcy pracowali również w kamieniołomie, ale w innych komendach. Z rozpaczy i grozy zagubiłem rachubę czasu. Przyszła zima, wielu nie wytrzymało, zwłaszcza starszych, i wyfrunęło przez komin. Zostałem przeniesiony do Gusen II, gdzie spotkałem Władka Wapińskiego, kolegę z harcerstwa z 24 WDH im. Zawiszy Czarnego w Wawrze. Trochę sobie popłakaliśmy, ale to nie przyniosło nam ulgi. W Gusen mieszkałem w baraku Nr 1, a do pracy dowożono nas kolejką obok sadu, gdzie jak na ironię na drzewach wisiały piękne gruszki,

a my umieraliśmy z głodu. Tu również spotkałem p. Jana Święcickiego, sąsiada, który mieszkał w Warszawie, ul. Grochowska 4, pracował w PZO i miał warsztat tokarski, a z którego synem Ryśkiem przyjaźniłem się. Bardzo lubiłem chodzić do tego warsztatu, bowiem p. Święcicki pozwalał mi od czasu do czasu potoczyć na tokarni. Miałem wówczas, przed wojną, 15 lat i bardzo mi to imponowało. Teraz spotkaliśmy się w tak strasznych warunkach, że ani on mnie, ani ja jemu nie mogłem pomóc. Pracowaliśmy nawet w jednym komando transportkolonne, a zadaniem naszym było dostarczanie materiałów budowlanych i stempli do sztolni, którą inni drążyli w skale.

Na jednym z apeli ogłoszono, aby wystąpił kto jest optykiem. Ponieważ p. Święcicki spełniał te warunki, postanowił wystąpić. Ja zatrzymałem go, aby tego nie robił, ponieważ zostanę sam, wówczas namówił mnie, abym się zgłosił, że jestem tokarzem, chociaż byłem kreślarzem i nie znałem się na obrabiarkach. Bałem się, że mnie zabiją za kłamstwo, ale "pocieszył" mnie, że tak czy inaczej nie przeżyję tego obozu, a może uda się przejść do innego komanda. Wystąpiliśmy razem. Po spisaniu numerów wróciliśmy do baraku, gdzie Święcicki dał mi odpowiednie instrukcje, jak mam dalej postępować i co ewentualnie mówić. Ktoś powiedział, że zwolnią tych fachowców z obozu i będą pracować jako cywile. W tej sytuacji za wszelką cenę chciałem wydostać się z obozu. Na porannym apelu ogłoszono, aby ci, których numery zapisano, ustawili się oddzielnie. Wystąpiło około 20 chłopa, reszta poszła do pracy. Zaprowadzono nas do Politischesabteilung. Kolejno wchodzimy do baraku, ja staram się być w środku grupy, p. Święcicki za mną. Moja kolejka, wchodzę. Przy stole kilku SS-manów, pytają, gdzie i przy czym pracowałem, odpowiadam: PZO W-wa jako uczeń - optyk, bo tak mnie pouczył Święcicki. Gut. Wychodzę innymi drzwiami niż wszyscy, którzy tam weszli. Czekamy, aż wszystkich załatwią, kogoś biją, być może nie spodobał się lub okłamał. Wreszcie załatwionych prowadzą do baraku, aby myć podłogę, równać łóżka, zamiatać. Do obozu wchodzą grupy śmiertelnie zmęczonych ludzi, pytają, co z nami, ale my nic nie wiemy. Wielu chce dołączyć do naszej grupy, zgłaszają różne zawody, ale nikogo już nie przyjmują. Spać. Rano na apelu specgrupa staje oddzielnie. Po wypiciu lury więźniowie udają się do pracy, my zostajemy w obozie. Przywożą chleb i kawę. Po bochenku na człowieka i bańka kawy na dwudziestu. Maszerujemy, ale gdzie, wiadomo tylko, że transport. Chleb zjedzony prawie natychmiast, chociaż wyznaczony był na 3 dni. Przychodzimy na stację, dobra nasza, może jednak prawda z tą wolnością. Jedziemy, ale nikt nie wie dokąd. W wagonie, tym razem osobowym, każdy ma miejsce siedzące. Jadę razem z p. Janem Święcickim, Stefanem - pisarzem obozowym, który nie najgorzej jest zaopatrzony w papierosy, Eligiuszem Grodzkim, Romanem Górko i innymi, razem dziesięciu w przedziale, komfort. Parzymy sobie wargi petami, które łaskawie oddaje nam Stefan. Kim był i jak się nazywał, nie wiemy do dziś, możliwy chłop, chociaż później okazało się, że nie zna nas po przybyciu na miejsce. Jazda trwała 4 dni, głód niesamowity, ale wreszcie dojeżdżamy - Gross-Rosen. Jednak obóz. Wizja wolności prysła jak bańka mydlana. W obozie nikt nie może za darmo jeść, więc do kamieniołomów, nikt tu nie zwraca uwagi na specgrupę, która praktycznie już nie istnieje; została rozdzielona po wszystkich komandach. Szczęśliwie trzymamy się razem z kolegami. Śmiertelność wzrasta, tempo pracy mordercze. Spotykam w niedzielę na meczu, tak, owszem, na meczu, Janka Supczyńskiego, syna kolegi

mojego ojca, pracuje u Siemensa, więc powodzi mu się lepiej, ale to żadna pociecha dla mnie. Współczujemy sobie wzajemnie, ale więcej już się nie spotkaliśmy. Praca w kamieniołomach ponad siły, załamałem się całkowicie i byłem prawie muzułmanem, ale Eligiusz Roman i p. Jan, jak mogli, tak mnie pocieszali i starali się, abym całkiem nie zmuzułmaniał, co stanowiło groźbę utraty życia. Po kilku tygodniach pracy ponad siły znów zwożują specgrupę. Chleb i kawa na drogę i odjazd w nieznane. Wieść niesie, że jedziemy tym razem do Jeny. Oby! Na małej stacyjce w Gross-Rosen czeka już kilka wagonów, tym razem towarowych, ale wszystko jedno, aby jak najdalej od piekła Gross-Rosen. Teraz już nie pamiętam, jak długo jechaliśmy. Na stacji docelowej napis GABLONZ nic nam nie mówi, nie wiemy, w jakiej części Europy leży to miasto. W czasie przemarszu Gablonz okazuje się uroczym miastem, o ile można w naszej sytuacji patrzeć oczami turysty. Dochodzimy do jakiejś fabryki, oczywiście z kominem, ale od razu widać, że to nie krematorium. Prowadzą nas do dużego baraku na terenie zakładu i, o dziwo, stoły zastawione miskami. Każą siadać i prawie natychmiast wnoszą zupę, kartofle obierane, nie jak dotychczas w łupinach. Brukiew, marchew i inne jarzyny w tej zupie, ale bardzo smaczna. Zjadamy błyskawicznie i oczom nie wierzymy - drugie danie. Kartofle w mundurkach i sos jakby pomidorowy, o Boże! królewskie jedzenie, a może to prawda o tej wolności. Wprost niemożliwe, aby w obozie dawali dwa dania. Powstań! Wchodzi grupa wojskowych i cywilów. Zabiera głos oficer SS, mówi, że jest komendantem obozu, cywile zaś dyrekcją fabryki Gestapo itp., więc jednak nie wolność. Jakiś cywil mówi, że będziemy pracować w tym zakładzie. Wszyscy otrzymują pracę w/g specjalności, musimy dobrze pracować i szybko, jutro każdy dostanie przydział. Rano śniadanie przy stołach, dzielą grupę na dwie zmiany. Jedna do pracy, druga ma posprzątać barak do połysku i spać. Jestem więc w drugiej zmianie, po wyszorowaniu baraku rzeczywiście każą iść spać. Co za rozkosz, żołądek napełniony i 8 godzin snu przed nami. Kładziemy się z Halkiem, Romanem i Tadziem Herzogiem obok siebie, trochę rozmawiamy, jednak sen jest silniejszy, usypiamy. Wstajemy o godz. 5^{00}, apel, śniadanie i wymarsz do pracy. Idziemy jako druga zmiana. Do fabryki około 450 m. Trasa nasza ogrodzona drutami kolczastymi i eskorta SS. Na hali ciepło i widno. Otrzymuję przydział na rewolwerówkę. Maszyna z wyglądu dość przyjemna. Z suportu wystają jakieś noże, wiertła itp. Zanim rozpoczęliśmy pracę, koledzy odpowiednio mnie instruują, jak należy posługiwać się tą maszyną. Okazuje się, że to niezbyt skomplikowane i na ogół łatwe. Należy ściśle trzymać się wymiarów z rysunku, a reszta należy do ustawiacza. Ustawiaczem, jak się okazuje, jest dość młody Czech, z wyglądu sympatyczny facet, ale trzeba być ostrożnym, jeszcze nie wiadomo, kto to jest. Okazało się później, że jest nie tylko sympatyczny, ale całkowiem równy. Ma do obsługi sześć maszyn, na których pracują: ja, Halek, Jasio spod Krakowa, który jest jednocześnie kapo naszej grupy, Tadek i dwóch Rosjan, Andriej i Kola. Toczymy i borujemy jakieś części, których przeznaczenia nie znamy na razie. Po przejrzeniu wszystkich rysunków okazało się, że są to części do pistoletów maszynowych. Po naradzie z kolegami dochodzimy do wniosku, że jeśli robimy pistolety maszynowe, powinniśmy więc mieć co najmniej dwie sztuki. Po kilku dniach mamy kompletne mechanizmy, ale brakuje obudowy. Wiadomo, Polacy nie zniechęcają się zbyt szybko. Okazało się, że na ten sam pomysł wpadli również jeńcy radzieccy, którzy z nami pracowali. Po nawiązaniu kontaktów z grupą radziecką przekonaliśmy się, że są lepiej zorganizowani od nas. Mieli już wyznaczonego dowódcę,

Železny Brod. Szpital Czerwonego Krzyża.
Po nabraniu sił więźniowie i siostry C.C.K. Haskova z córką przed szpitalem. Maj 1945 roku.
Na zdjęciu są rozpoznani: Eligiusz Grodzki, Karol Gibert, Tadeusz Hercog, Zenon Karpiński, Zdzisław Makowski, Zdzisław Zieliński, Bernard Laskowski

Foto archiwum Gross-Rosen 3.1.1.34.

którym był oficer Armii Radzieckiej, lejtenant Kozłow, ale o tym dowiedziałem się znacznie później. Tak więc było już kilka pistoletów, ale ani jednej sztuki amunicji. Broń była bardzo dobrze schowana w schowku w suficie, gdzie nikt by się nie domyślił, że można tam cokolwiek przechować. Tymczasem wydarzyła się w baraku bardzo groźna sprawa. Jeden z kolegów, powstaniec ze zgrupowania "Baszty", Kazimierz Jastrzębski, przechowywał czy też mu podrzucono łom, który znaleźli Niemcy. Wywleczono biedaka i nieludzko skatowaho na oczach wszystkich przebywających w baraku. Tak to nas poruszyło, że postanowiono pomiędzy zaufanymi kolegami jakoś się zorganizować. Oczywiście żadnego wpływu na bestialstwo Niemców nie mogliśmy mieć; jakiekolwiek przeciwstawienie się rozkazom było pewną śmiercią. Stworzono więc ściśle zakonspirowane grupki do małych sabotaży na terenie fabryki; żółwie tempo pracy, umyślne niszczenie narzędzi, a zwłaszcza drogich frezów, jak również wadliwie wykonywanie detali.

Pewnego dnia przyszła do nas w transporcie pieszym grupa więźniów z Oświęcimia. Z grupy tej wytypowano kapów oraz blockältestera Niemca, kryminalistę i homoseksualistę. Ponieważ kapo byli do tej pory więźniowie - koledzy, nie było więc drastycznych przypadków bicia współtowarzyszy, a jeśli były, to najwyżej dla pozoru, o co zresztą pobity nie miał żalu, gdyż była taka umowa. Lepiej było dostać od kolegi w mordę za jakieś tam naruszenie przepisów, ale tylko w obecności SS-mana, niż być przez niego zapisanym i po apelu zgłosić się na dupobicie, a w tym przypadku żartów już nie było. Taki delikwent przez dwa tygodnie nie usiadł na tyłku,mógł tylko leżeć na brzuchu. Nowy blockältester oczywiście wprowadził z miejsca nowe porządki. Sam mianował oberkapo, ten zaś z kolei swoich kumpli, którymi okazali się zwykle bandyci spod znaku "tryzuba", Ukraińcy - policjantem obozowym. Pferdnerem został jakiś garbus-konus, jak go nazywaliśmy, z Działdowa. Wracającym z nocnej zmiany otwierał drzwi i pewnego dnia tak był zajęty okładaniem kijem wchodzących, że zapomniał schować pajdkę chleba, którą zostawił na ławce, na której się zwykle wylegiwał. Halek, idący po lewej stronie piątki, złapał w locie pajdkę i zanim garbus się zorientował, już podzielił ją na trzy części, dając jedną mnie, drugą Romanowi. Błyskawicznie chleb powędrował do naszych żołądków. Tymczasem przy wejściu powstała awantura, ktoś ukradł chleb, co było najcięższym wykroczeniem. Ale szukaj, bracie, wiatru w polu, teraz możesz każdego pocałować w nos. Küchenkapo, który był bardzo uczulony na tego rodzaju kradzieże, a zwłaszcza, że skradziono funkcyjnemu, zarządził rewizję, wzywając wszelką swołocz obozową do rewidowania. Naturalnie chleba nie znaleziono, a garbus dostał w mordę i kilka pyt od Küchenkapo za to, że nie pilnował swojej dodatkowej porcji. Bardzo się z tego obrotu sprawy cieszyliśmy. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia 1944 roku, tęsknota za wolnością i domem zapukała mocniej do serc każdego z nas. Wiedzieliśmy, że nasza Warszawa zniszczona, ale czy najbliżsi jeszcze żyją? Żadnych paczek już nie było, zaledwie kilku je otrzymało, ale po zajęciu przez wojska radzieckie i polskie terenów, gdzie mieszkali, nie było żadnej możliwości aby dalej otrzymywać paczki. Najważniejsze jednak były listy, które w najbardziej przemyślany sposób informowały o postępach naszych wojsk, no i naturalnie dodawały otuchy. Aby tej otuchy dodać sobie i innym postanowiliśmy święta zorganizować w sposób przypominający Polskę i dom. W tym celu przeprowadzono rozmowy z grupą radziecką i ustalono, że Polacy w Wigilię coś zaśpiewają wspólnie z Rosjanami. Zaczęto czynić przygotowania. W fabryce próby odbywały się w

ubikacji, ale okazało się, że wspólny śpiew jest raczej niemożliwy i postanowiono, że Polacy zaśpiewają kolendę, a Rosjanie swoją pieśń narodową. Niech nikt nie myśli że próba śpiewu odbywała się na cały głos. Każdy śpiewak mruczał pod nosem "Cicha noc, święta noc", przy czym specjalna czujka ubezpieczała i uważnie obserwowała najbliższy teren, czy nie zbliża się osoba, która nie powinna wiedzieć o próbach. Nie można było również być zbyt długo nieobecnym przy maszynie. Otrzymaliśmy tytoń, paczka na 4 ludzi, używaliśmy więc sobie na paleniu. Byli tacy, którzy woleli wymianę chleba na tytoń. Bardzo nas martwiło takie postępowanie. Zamiany nie mogliśmy zabronić, ale karygodne było oddawanie chleba, jedynego podstawowego środka najbardziej wartościowego odżywczo, za tytoń. Staraliśmy się kolegom namiętnym palaczom to wytłumaczyć, ale z różnymi skutkami. Ja, Halek, Roman i Tadzio też część tytoniu wymieniliśmy, ale na "sałatkę" z czerwonych buraków. Chleba nie chcieliśmy kupować, aby nie pozbawić kolegów ich przydziału. Halkowi wydarzył się wypadek. Siedząc wieczorem na łóżkach zajadaliśmy brukiew,krojąc ją nożykami własnej produkcji. Właśnie przekroiłem pół brukwi, kawałek podawałem Halkowi i nie wiem, czy zrobiłem to tak niezręcznie, czy też on źle ją przyjął, ale skaleczył się moim nożem w zewnętrzną część dłoni obok trzeciego palca. Skaleczenie było błache, ale okazało się bardzo groźne w skutkach. Rano ręka spuchła jak bania, nie mógł pracować. Z każdym dniem było gorzej. W końcu namówiłem go, aby udał się do sanitariusza, którym był Adam Grzęski. Otrzymał zwolnienie na kilka dni. Został więc w baraku, a mnie bardzo go brakowało w fabryce, ponieważ był moim najlepszym przyjacielem. Tymczasem mijał czas, front zbliżał się do naszego obozu, a nie wiedzieliśmy, co z nami będzie. Spadły duże śniegi i był srogi mróz. Obawialiśmy się ewakuacji. Zarządzono odwszawianie, które polegało na tym, że trzeba było rozebrać się do naga i poddać się kontroli. Siadało kilku łachudrów, którzy za miskę dodatkowej zupy szukali u kolegów wszy. Küchenkapo w obecności "pięćdwadzieścia", SS-mana,Ślązaka, który mówił po polsku, lecz przekręcał wyrazy zamiast dwadzieścia pięć wymawiał jak przytoczyłem. Oznaczało to 25 batów na tyłek, co było u niego najmniejszym wymiarem kary. Był podoficerem SS i miał sztywną nogę w kolanie, nie nadawał się na front, był więc u nas zastępcą komendanta lagru. Küchenkapo ogłosił, że kto ma wszy, niech się zgłosi, a za każde 5 sztuk otrzyma papierosa. Zgłosiło się kilku i, o dziwo, otrzymali papierosy. To podziałało na innych i były wypadki, że pożyczano sobie wszy. Küchenkapo ze stoickim spokojem obdzielił jeszcze kilku papierosami, ale kazał schreiberowi zapisać ich numery. Zgłosił się z wszami również Heniek Uchman. Zebrała się spora gromadka szczęśliwych palaczy, a Küchenkapo czekał, aż zbierze się ich więcej. Kiedy uznał, że więcej nikt się nie zgłosi, a było ich około 50, ponownie wezwał wszystkich do ustawienia się w szeregu i wygłosił mowę. Stwierdził, że są brudne świnie, że ich zgnoi do ostatniego i rychło słowa wprowadził w czyn. Żabka, czołganie się po betonowej podłodze, bicie, lanie wodą, dał taki wycisk, że krew tryskała kolegom spod paznokci i woda się w tyłkach gotowała, my zaś patrzyliśmy i truchleliśmy ze zgrozy, co z nimi wyrabiają. Następnie wszystkich zabrano do łazienki i tam dano im lodowaty prysznic. Szczęśliwie nikogo nie zabito i tak zakończyła się zabawa w papierosy za wszy. Wszy miał każdy z nas, choć oficjalnie było to zabronione, ale co można było zrobić, kiedy roje chodziły w łóżkach, bieliźnie i ubraniach. Nie było środków piorących

ani dezynfekujących i każdy, chciał czy nie, musiał je mieć. Niemcy o tym doskonale wiedzieli, ale nic nie robili. Obowiązkowo raz w tygodniu wszyscy musieli zabijać wszy, a było to tak, że siadano pod oknem, a w szwach bielizny i ubrania wyszukiwano robactwo. Następnie należało się zgłosić do kontrolera, podać swój numer oraz poddać się kontroli. Specjalny kapo miał łampkę w ręku i szukał w bieliźnie. Naturalnie, że nigdy nie wyłapano do ostatniej sztuki, natomiast "specjalista" natychmiast przy dobrym oświetleniu znajdował kilkanaście sztuk, po czym obok numeru więźnia podawał ilość wszy i oddawał kartkę lagerältesterowi. Ten zaś po apelu w obecności "pięćdwadzieścia" wymierzał karę. Kara znów była taka, że za każdą znalezioną sztukę wymierzano 2 uderzenia bykowcem. Między innymi specami od wszy był niejaki Dzikowski z Warszawy, podszedłem do niego mając nadzieję, że nie zapisze mego numeru, jednak on, chcąc dostać zupę, zapisał. Przypadkowo wyszedł Küchenkapo i odebrał od niego kartkę. Natychmiast wszystkich zapisanych przywołał do siebie i dał nam takie przeszkolenie, gdyby nie odwołano go w pilnej sprawie, nie wiadomo, jak by się to skończyło. Na tyłku nie mogłem usiąść przez kilka dni, a w pracy nie mogłem się poruszać, na co zwrócił uwagę majster Czech. Gdy mu powiedziałem, jaki jest powód, dał mi dwa papierosy i później od czasu do czasu podrzucał mi na maszynę kartofle, marchew lub buraki. Kiedy chłopaki zobaczyli papierosy, każdy chciał się zaciągnąć. Na hali nie wolno było palić, więc każdy z nich dym wypuszczał do rękawa. Jednak zauważył to esesman i choć nie przyznawaliśmy się do palenia, wezwał Jasia Kapo i osobiście wymierzył mu 25 bykowców za to, że będąc kapo, pozwala palić. Janek miał do nas trochę pretensji, ale że i sam również palił, jakoś to przebolał, a my musieliśmy zajmować się leczeniem jego dupy, jak było u nas w zwyczaju, jeśli któryś dostał "5-20". Trzeba przyznać, że solidarność tu była wyjątkowa ze względu na to, że każdy o każdej porze mógł otrzymać porcję batów.

W komendanturze obozu zaszły zmiany. Został mianowany nowy lagerführer, oficer SS. Na apelu zapowiedział, że wzmocni dyscyplinę i nie będzie tolerował żadnego jej naruszenia. Po kilku dniach nadarzyła mu się okazja. Hauskapo miał na palcu pierścionek, który został wykonany w fabryce z mosiądzu i zabrany jednemu z więźniów. Blokowy zabrał go koledze i paradował z nim, nie kryjąc się. Zauważył to nowy komendant, wezwał esesmana, zbeształ go, a blokowemu rozkazał wymierzyć 25 "am Arsch". Kazano mu się położyć na stole i przy wszystkich otrzymał swoją porcję, a nam kazano liczyć: eins, zwei, drei - fünfundzwanzig. Blokowy się wściekał, ale nic nie mógł na to poradzić. Może mnie się tylko wydawało, ale jakby stał się potem nieco lepszy. Już za byle co nie kazał odliczać 25.

Święta już blisko. Jeden z radzieckich kolegów w wolnych chwilach, których zresztą nie było wiele, malował na ścianie baraku różne obrazy rodzajowe oraz kwiaty, które przechowały się do dnia dzisiejszego, jak również oryginalne druty kolczaste, którymi były zakratowane okna baraku. Przywieziono choinkę i ustawiono ją nie w środku baraku, lecz przy ścianie. Ubrano ją marchwią, brukwią, pajdkami chleba, jakimiś łańcuchami wykonanymi z papieru, zresztą nie wolno było do choinki podchodzić ze względów zasadniczych, a to z uwagi na wiszące na niej specjały, które, co to ukrywać, mogły zniknąć w żołądkach głodnych więźniów. Wigilia. Po pracy na obiad, a raczej kolację z obiadem podano zupę a`la Gablonz oraz kartofle w mundurkach z sałatką z czerwonych buraków.

Ponieważ jak wspominałem o tej sławnej sałatce, należy wyjaśnić bliżej, co to było za dziwo. Otóż były to gotowane czerwone buraki i drobno krajane w sosie własnym. Serwowano więc "sałatkę" w dniach

bardziej uroczystych. Może była i niezła, ale po zjedzeniu tego dania zaczęto chorować na czerwonkę. Była to tragedia: do WC ustawiała się kolejka, oczekujący ponaglali załatwiających się do pośpiechu, a tamci wyrywali kiszki, zresztą jak wszyscy. Lekarstw żadnych, a jeść się chce jak wszyscy diabli, więc nikt nie zważa już na nic i kiedy jest sałatka, wszyscy ją jedzą. Były nawet śmiertelne wypadki. Zmarł również nasz znajomy, jego nazwiska już nie pamiętam, z Warszawy, miał zakład fotograficzny na ul.Wileńskiej. W obozie był kalendarzem, bowiem do jego obowiązku należało pamiętać dokładnie, jaki jest dzień, np. 11 grudnia, środa 1944 r. Tak do niego przylgnęła nazwa "kalendarz", że zapomniano jego nazwisko i z tego też powodu i ja nie pamiętam. Zmarłych chowano na górce za barakiem, obok wykopu, w głębi którego była jakaś pusta sztolnia, służąca również za schron przeciwlotniczy. Chodziły słuchy, że Niemcy w wypadku nadejścia wojsk radzieckich mają nas tam zagazować. Że była to prawda, przekonałem się naocznie, będąc tam już po wojnie z żoną i dziećmi. Spotkałem wtedy Władka Gadzińskiego, który aktualnie jest komendantem straży przemysłowej w Liaz, jak obecnie nazywa się ta fabryka. Ponieważ byłem pierwszym, który po wojnie odwiedził były obóz Gablonz, otrzymałem od dyrekcji fabryki na pamiątkę litografię przedstawiającą "nasz obóz i fabrykę", ale niestety wg stanu obecnego. Wprawdzie jest uwidoczniony barak tego "naszego obozu", jednak jest już inaczej. Na litografii, którą oprawiono dla mnie w ramkę i za szkłem, napisano bardzo przyjemną dedykację:"Panu Zdislavu Makowskiemu z Warszawy w upominku w bywalim koncentracnim tabore Gross Rosen pobocka w Rynovicich venuje ZV ROCH NP LIAZ - JABLONEC CSR". Jest to piękna pamiątka, tym bardziej że wiąże się z nią zabawna historia na granicy w Jakuszycach. Wracających do Polski z drobnymi zakupami z CRS, gdy przekroczyliśmy szlaban, poproszono nas, aby udać się do komory celnej z bagażem i do kontroli osobistej. Kiedy nasza czwórka stawiła się z walizami i innymi paczkami, a ja na dodatek z obrazem, celniczki czeskie wybuchnęły gromkim śmiechem na mój widok. Zapytały, czy ja to kupiłem? - Nie - wyjaśniłem - otrzymałem w upominku. - Kiedy przeczytały dedykację, z honorami odprowadziły nas do samochodu, niczego nie szukając w naszych walizkach. Okazało się, że szukały butów dziecinnych, których nie wolno wywozić z CRS. Tak więc obraz ten wyratował nas z opresji, ponieważ mieliśmy kilka par butów dla dzieci. Innym wszystkie buty zatrzymano.

Ale powracam do Wigilii. Po wygłoszeniu przez lagerführera okolicznościowego przemówienia w rodzaju "Victoria! Niemcy zwyciężają na wszystkich frontach", ktoś zapytał, czy można zaśpiewać kolędę. Zezwolili, wtedy wystąpili "śpiewacy" i nawet ładnie zaśpiewali "Heilige Nacht". Widać było, że kolęda podobała się lagerführerowi. Natomiast "pięćdwadzieścia", już dobrze podpity miał bardzo głupi wyraz twarzy; może też myślami był przy żonie i dzieciach, a może poczuł, że jest również człowiekiem, bo podobno każde bydlę w tym dniu też się raduje z narodzenia Pana, więc być może jego bydlęce serce w ludzkim ciele w tym dniu zaskowyczało. Faktem jest, że zapytał, a nie rozkazał, czy znamy jeszcze jakieś kolędy. Znamy, naturalnie, ale po polsku. Los, po polsku - zezwolił. Był to nasz wielki sukces, że tego bydlaka tak rozczuliliśmy śpiewaniem kolęd po polsku, co było rzeczą niewiarygodną, bo jak wiadomo językiem "urzędowym" był wyłącznie niemiecki. Naturalnie pomiędzy sobą mówiliśmy po polsku, ale zdarzały się wypadki, że należało kogoś nieznajomego zapytać o coś, a wtedy to już tylko po niemiecku. Przez całe święta pracowaliśmy, ale tempo

pracy było tak małe, że prawie nic nie wykonano, tyle tylko, aby starczyło do zamydlenia oczu. Po świętach jednak ostro pogoniono nas do pracy, być może statystyka wykazała duży spadek produkcji.

Minęły święta, dnie i tygodnie ciągnęły się szaro i beznadziejnie aż nareszcie pod koniec stycznia 1945 r. gruchnęła wiadomość, że Warszawa została zdobyta. Od tego pamiętnego dnia wiadomości przychodziły coraz bardziej radosne. Nie było prawie dnia, aby nie powtarzano, że front toczy się jak lawina i wyzwolone zostały nowe miasta Polski. Jak grom z jasnego nieba przyszła wiadomość, że Wrocław, a więc bardzo blisko oblężony, a wśród oblegających Wojsko Polskie. Co za radość! SS-mani, stare dziady kuternogi,nagle zaczęli zbliżać się do więźniów i, nazwałbym to, zabiegać o ich względy. To nam dawało wiele do myślenia, nocami rozważaliśmy, co dalej będzie i co z tego wyniknie. Dotarła również do nas wiadomość, że lagerführer rozkazał załodze wzmocnić czujność i zaostrzyć kurs wobec heftlingów. Nadszedł luty, wzmogły się mrozy i spadł okrutny śnieg. "Pięćdwadzieścia", kiedy tylko miał trochę czasu a był podpity, kazał wychodzić z baraku, ustawiał nas jak do apelu i kazał śpiewać. Ponieważ najlepiej mu się podobała aria z "Halki", a może raczej złośliwie, kazał śpiewać "Góralu, czy ci nie żal" śpiewaliśmy, ale właśnie wtedy myślami byliśmy w stronach ojczystych.

Druga zmiana nie idzie do pracy, co się stało? Rano wzmocnione posterunki SS, wychodzimy poza fabrykę, czyżby transport? Tak,prowadzą nas na dworzec kolejowy, ale tu sprawa natychmiast się wyjaśnia. Rozdają szpadle i kilofy. Komendę obejmują niemieccy kolejarze. Kto dobrze mówi po niemiecku, wystąp. Występuję i jeszcze kilku. Kolejarz wręcza mi chorągiewkę i trąbkę oraz tłumaczy, że będę stał obok posterunku SS-mana i zadaniem moim będzie ostrzegać pracujących na torach o nadjeżdżającym pociągu. Idę więc z SS-manem, starym prykiem prawdopodobnie z volkszturmu, na oddalony posterunek. Odwilż tego dnia i pada drobny deszcz. Z daleka widzę,że koledzy stoją na torach ale jakoś nie kwapią się do roboty. Tak przestaliśmy 10 godzin. SS-man pyta, czy mam zapałki. Ależ skąd, przecież to zabronione. Przypala papierosa, miał więc zapałki,wypala do połowy i wyraźnie widzę, że się uważnie rozgląda. Nic podejrzanego nie zauważył, zawołał mnie do siebie i dał połówkę papierosa. Zastanowiłem się: prowokacja czy chęć nawiązania rozmowy. Okazało się to drugie. Zaczyna mówić, że wojna trwa już za długo, nie pamięta, kiedy był w domu. Miał troje dzieci - dwie córki i syna. Syn zginął w Jugosławii, a córki służę w pomocniczych formacjach wermachtu. Bardzo chciałby je zobaczyć. Pyta, z jakiego powodu jestem w obozie. Skłamałem, że zostałem złapany na ulicy w Warszawie. Wyraził zdziwienie, twierdząc, że z tego powodu nie osadza się w Rzeszy w obozach. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, ale na szczęście ndjechał pociąg, zacząłem więc nadawać umówione sygnały. Na tablicy pociągu osobowego był napis: Reichenbach-Hirszberg. Po przejściu pociągu SS-man zupełnie niespodziewanie zapytał, czy może liczyć, jeśli sytuacja się zmieni, że zaświadczę, że on nikogo nie bił ani też nie zabił. Do Gablonz trafił ze szpitala i nie chce mieć nic wspólnego z pozostałymi SS-manami. Oświadczyłem, że naturalnie, jeśli będzie trzeba, to nawet jestem gotów przysiąc, że on jest bardzo dobry. Prawdę mówiąc, nie widziałem go "w akcji na rzecz więźniów". Pomyślałem tylko: bracie, tu chcesz być aniołkiem, a jeśli nadarzy się okazja, zastrzelisz każdego z nas z zimną krwią i nie będziesz robił sobie wyrzutów z tego tytułu. Sytuacja stała się bardzo niezręczna, myślałem tylko, jakby się od niego oddalić, aby nie słuchać i nie rozmawiać, jednocześnie zdając

Punkt zborny Czerwonego Krzyża - pierwsze kontakty z ludnością Tanvaldu

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.1.41.

Grupa więźniów oswobodzona w Tanvaldzie wkracza do Żeleznego Brodu. Na zdjęciu rozpoznany Antoni Małetka z Warszawy

Foto archiwum Gross-Rosen 3.1.1.4.

sobie sprawę z tego, że sytuacja Niemców musi być bardzo zła, kiedy SS-man szuka protekcji u zwykłego więźnia. Nikomu nawet o tym nie wspomniałem bojąc się, że ta rozmowa może się wydać i jeśli nie on osobiście mnie zastrzeli, to wskaże koledze i kaput. Wracamy do obozu, przechodzimy obok piekarni i wchłaniamy z rozkoszą zapach chleba. "Pięćdwadzieścia" podaje komendę: śpiewać! Śpiewamy.

Wir sind Arbeiter von Lager Rejnovitz,
Darum rann alle Mann
Unsere Her-zen fliegen sendern lacht
Unser Arbeit hat es gut gemacht
Tra la la, tra lalla la la.

"Pięćdwadzieścia" który miał w piekarni znajome kobiety, w ten sposób dawał znak, że nadchodzi, a one wyglądały przez okna i śmiały się rzucając wulgarne i sprośne słowa, czyniąc przy tym różne gesty. Kim one były, nie wiem, przypuszczam, że ..., ale mniejsza o to, nie warto się nimi zajmować. W baraku pierwsza zmiana informuje nas, że w fabryce nie ma materiału, więc dwie zmiany są niepotrzebne, bo i tak oni mają przestoje. Zamiast pracować na maszynach sprzątają halę fabryczną, czyszczą maszyny i ze złomu wyszukują co lepsze materiały, zwłaszcza kolorowe. A więc Trzecia Rzesza goni już resztkami sił, dobra nasza.

Następnego dnia idziemy znów na brandel - tak nazwano nasze komando. Chłopcy pracują jak żółwie. Przez cały dzień podbili zaledwie kilka podkładów. Na szczęście mój rozmówca stoi na innym posterunku. Jego zastępca nie mówi ani słowa, patrzy wilkiem,więc mam się na baczności. Nic szczególnego się nie wydarzyło tego dnia, wracamy. W obozie zastajemy nowe porządki i jakieś nowe twarze, wypasieni osobnicy, dobrze ubrani. Okazało się, że zostali ekstra sprowadzeni z Gross-Rosen na kapów. Blokowym teraz jest Saszko,a jego pomocnikiem Jaszka - Ukraińcy. Po baraku chodzą z tęgimi kijami i okładają na prawo i lewo, kto nawinie się pod rękę. Pod ścianą też siedzi kilku zbójów. Źle.

Rano do każdej grupy zostaje przydzielony nowy kapo. Na brandlu kto tylko na chwilę ustanie w pracy, dostaje tęgie lanie, znów mordercze tempo. Ale po to właśnie sprowadzili morderców. Kapowie uwijają się jak w ukropie, walą, aż wióry lecą, i widać, że nie ma żartów. Jeden kapo podszedł do mnie. Stałem tyłem, więc nie widziałem ani nawet nie usłyszałem, jak się zbliżył, a że dość szybko się nie zameldowałem, dostałem w ryja i przy tej okazji złamał mi nos. Zaraz załałem się krwią i długo jej nie mogłem zatamować, przykładając kompresy z zimnej wody, którą czerpałem z rowów obok torów. W ten sposób płynęły dni. W lutym, szykując się do wyjścia rano do pracy, ujrzeliśmy ustawiony karabin maszynowy w drzwiach, z załogą z pełnym ekwipunkiem. Kapowie ustawiają nas w szeregu a kuchenkapo z pomocnikami wydaje chleb, aż po bochenku na głowę. Więc znów zmiana miejsca. Jednak to, co się okazało, było znacznie gorsze niż transport. To była ewakuacja obozu. Przygotowano fury, które sami mamy ciągnąć. Na razie jednak czekamy i tak mija dzień, bez jedzenia. Niektórzy zaczynają zjadać chleb, choć jest przeznaczony na drogę nie wiadomo jak daleką i jak długą. Pomimo że wiemy, iż chleba nam nie wolno zjadać, że jest taki rozkaz, zjadamy po prostu dlatego, że chce się jeść. My z naszej paczki również zjadamy po kawałku, resztę chowając na drogę. Nocujemy jednak w baraku. Rano küchenkapo lata jak opętany - chleb do zwrotu. Łykamy więc duże kęsy, ile tylko możliwe, ale około połowy trzeba zwrócić, bardzo tego żałujemy, ale kto to mógł wiedzieć.. Rano bez jedzenia idziemy znów do pracy. W południe przywieziono zupę na stację, godzina przerwy. Zjadamy nieco

się rozgrzewając i znów do roboty, podbijać podkłady. Tak w wielkim skrócie przetrwaliśmy do maja.

Jak dziś pamiętam 8.V.1945 r. Wydano nam chleb, tytoń i kawę. Maszerujemy w nieznanym kierunku. Dochodzimy do Tanenwaldu. Tanenwald. Kolumna halt! podchodzą jacyś uzbrojeni cywile, eskorta SS oddaje broń i pod eskortą cywilów gdzieś odchodzi. Ktoś krzyczy: Wojna skończona! Jesteście wolni!" Boże, co to za radość, jeszcze dziś, kiedy wspomnę ten dzień, mimo woli łzy same spływają mi z oczu. Pękają szeregi, wszyscy się całują i leją łzy radości, że chociaż nie wszyscy, ale doczekaliśmy wolności. Partyzanci czescy, bo byli to oni, kierują nas do Żeleznego Brodu. Najbardziej chorzy i słabi zostają w Tanenwaldzie, gdzie umieszczono ich w szpitalu. Kobiety wynoszą jedzenie, pochłaniamy je w mig i całujemy każdą napotkaną osobę, ciesząc się z odzyskanej wolności. Każdy na swoją rękę stara się o jedzenie, a było tego dużo, ludzie nam nie żałowali, papierosy, cygara, tytoń, pal, ile dusza zapragnie. Ja i Halek zostajemy zaproszeni do jakiejś kobiety, która chciała nas poczęstować "polewką", czyli zupą, ale wpierw przezornie zapytała nas, czy nie jesteśmy chorzy na tyfus. Ależ nie, babiczko. Dobrze, że nie zapytała o wszy, a może o tym nie wiedziała. Okazało się, że oprócz zupy był koniak i kiełbasa, wspaniała może dlatego, że pierwsza na wolności. Najedliśmy się strasznie, podziękowaliśmy i do miasta. Przy każdej bramie kobiety z dzbanami kawy, herbaty i innymi specjałami, dusza by jadła, ale już nie możemy. Tymczasem strasznie rozbolały nas brzuchy, jęczymy z bólu i wijemy się na trawniku. Zbiegowisko ludzi, a my wyglądamy jak małpy w naszych pasiakach i z wygolonymi strajfami na głowach. Jedni litują się nad nami, inni płaczą na nasz widok, co też z nami Niemcy zrobili, wszyscy myślą, że jesteśmy tak chorzy, że nie możemy się ruszyć. Wszelkie próby porozumienia z nami są niemożliwe; po pierwsze nie znamy języka czeskiego, po drugie naprawdę nie byliśmy w stanie cokolwiek powiedzieć. Przyszedł jakiś partyzant w kombinezonie i czerwoną opaską na rękawie, który zainteresował się nami. Zrozumiałem, że pyta, czy dużo jedliśmy, kiwnąłem głową, coś powiedział do ludzi i kilku gdzieś pobiegło. Za chwilę zjawili się z noszami i zabrali leżących do punktu być może sanitarnego. Tu zrobiono nam zastrzyki i na siłę wepchnięto rurę gumową w usta aż do żołądka. Lekarz nas skrzyczał, że tak dużo jedliśmy i że to mogło się stać przyczyną nawet naszej śmierci, bo żołądki po długim okresie głodu nie zniosły nagle takiego obciążenia. Zabrano nas samochodem do Żelaznego Brodu i umieszczono w szpitalu. Dopiero teraz rozchorowałem się na dobre. Stan mojego serca był bardzo poważny, dostałem dużo krwi, tak że śmiało mogę powiedzieć, że płynie we mnie czeska krew, może z tej przyczyny tak bardzo lubię Czechów. Gdzieś w połowie czerwca postanowiłem wracać do Polski, dość dobrze postawiony na nogi przez lekarzy. Ponieważ Halek Grodzki i Tadek Herzog byli tego samego zdania, poprosiliśmy o zwolnienie ze szpitala i w drogę do Polski. Dwa dni jechaliśmy przez Morawską Ostrawę do Katowic, gdzie dostaliśmy w PUR po 150 zł i bilet do Warszawy. Przyjechaliśmy na Dworzec Zachodni. Na Pragę pieszo alejami Jerozolimskimi. Płakaliśmy jak dzieci widząc, co zostało z naszej Stolicy. Tu muszę z całą stanowczością stwierdzić, że warszawiacy to kochany naród. Każdy, kogo spotkaliśmy, troskliwie wypytywał, czy mamy co jeść i czy są pieniądze. Zanim doszliśmy do Wisły, uskładała się pewna sumka. Ludzie, widząc nas w pasiakach, pytali, czy nie widzieliśmy ich krewnych, rodziców lub dzieci. Na moście podszedł do nas mężczyzna i zaproponował, że postawi nam po kielichu. Nie mogliśmy od-

mówić, ale zamiast kielicha dostaliśmy po szklance od wody sodowej i na zakąskę po jajku na twardo. Bardzo równy facet, chciałbym go dziś spotkać, dużo opowiadał, jak Niemcy niszczyli Warszawę i jak zdołał przetrwać na Pradze.

Postanowiliśmy, że w pierwszej kolejności odwiedzimy rodziców Halka. Tadzio Herzog spieszył się do swojego domu, więc we dwóch poszliśmy na ul. Tarchomińską. Nie będę tu opisywał, ile łez wylano z radości, że Halek wrócił; każdy, kto wracał do swoich, aż nadto dobrze zna chwile powitania. Mieszkanie pełne sąsiadów, każdy się cieszy.

Następnie pojechaliśmy do mnie do Wawra i tu to samo. Są to chwile jedyne w życiu, kiedy wraca się do matki, która nie widziała czy jej syn jeszcze żyje. Wyglądałem jak dziad, a ważyłem 32 kg. Biedna matka robiła wszystko, aby mi stworzyć możliwość powrotu do zdrowia. Tak przesiedziałem w domu dwa miesiące.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.3.7.

13 maja 1945 roku. Żelezny Brod. Grupa oswobodzonych więźniów komando Gablonz na terenie szpitala Czerwonego Krzyża w towarzystwie miejscowego księdza.
Na zdjęciu rozpoznani: ksiądz Antoni Kowalski /pierwszy z lewej/, Zbigniew Mleczko, Tadeusz Zieliński. W środku ksiądz miejscowy, obok Stanisław Marciniak, Stanisław Borowiec - zakonnik

Foto archiwum Gross-Rosen 3.1.1.40.

Jerzy Kądzielowski
P - 85115

Z ŻYCIA NA BLOKU W GABLONZ

Ranna pobudka około godz. 5-tej, przeważnie wspomagana przez sztubowych goniących pomiędzy pryczami z bykowcami rozpoczynała dzień na bloku. Do zaścielania pryczy używało się początkowo worków papierowych służących za przykrycie. Potem już tylko wciąganie pasiaków, wsunięcie stóp do drewniaków i bieg do umywalni, gdzie w tłoku nie zawsze można było dostać się do kranu z zimną wodą. Często jeszcze poranna gonitwa do latryny obozowej; byliśmy w większości chorzy na taz zw. biegunkę obozową. Śniadanie składało się z gorzkiej ziołowej herbaty i pajdki chleba z kawałkiem margaryny. Zaraz po śniadaniu, przy stałej nagonce kapów obozowych, następował wymarsz do pracy. Początkowo pracowałem w fabryce przy obróbce różnych części metalowych, aluminiowych lub bakelitowych na frezarce. Praca trwała od godz. 6^{00} do wieczora. Południowy posiłek, wydawany przy stanowiskach pracy, składał się z miski wodnistej zupy z zielska i brukwi. Przy pracy nieustannie doglądali nas i poganiali majstrowie Niemcy i kapowie obozowi. Ci ostatni byli zainteresowani w wysokim wyrobieniu przez nas obowiązującej normy i nierzadko do maksymalnego wysiłku zachęcali nas bykowcami.

Po pracy następował powrót na blok, którym była duża nieukończona hala fabryczna, nie uszczelniona, w stanie surowym nieotynkowana. Na bloku zaraz przystępowano do odwszenia, co trwało nieraz 2 - 3 godziny. Wyglądało to taki: Więźniowie ściągali pasiaki i bieliznę i wyszukiwali w nich wszy. Znalezione zabijali w palcach. Byliśmy bardzo zawszeni, zarówno z uwagi na brak przez cały okres pobytu zmiany bielizny, jak i braku możliwości przeprania tej bielizny. Przez cały czas mojego pobytu na komandzie Gablonz tylko raz zarządzono pranie bielizny w zimnej wodzie; później ona schła w przewiewnej hali kilka dni, a my chodziliśmy do pracy w samych pasiakach. Po dokonaniu osobistego odwszenia stawaliśmy do kontroli pod lampami. Sztubowi sprawdzali czystość bielizny. Jeżeli któryś więzień poszedł z bielizną nie dość dokładnie oczyszczoną od robactwa, dostawał wypłatę w relacji jeden bykowiec na goły pośladek za jedną wszę.

W późniejszym czasie / od miesiąca kwietnia 1945 r./ pracowałem na komandzie "Brandl". Praca na Brandlu była bardzo ciężka, a dojście to marsz 4-5 km w jedną stronę. Pracowaliśmy przy wymianie torów kolejowych, co polegało na rozkręcaniu i przenoszeniu szyn kolejowych, zakładaniu nowych, skręcaniu ich oraz podbijaniu kamienia na nowo ułożonych podkładach. Ta kolejna moja praca też trwała do wieczora z przerwą na posiłek jak w fabryce. Nie muszę dodawać, że również nieustannie byliśmy szykanowani i poganiani przez vorarbeiterów i kapów.

Pewnego dnia na rannym apelu zostałem wybrany z 20-30 osobowej grupy młodych współwięźniów do pracy, jak się później okazało, na komandzie kobiecym. O ile sobie przypominam, było ono położone niedaleko naszego bloku. Komando kobiet, liczące może

około 50-80 więźniarek, przeważnie pochodzenia żydowskiego zatrudnione było przy ogrodach i zabudowaniach esesmańskich. Kobiety-więźniarki ubrane były w cywilne ubrania, oznakowane czerwoną farbą, jak to było w zwyczaju obozu macierzystego Gross-Rosen. Nas odkomenderowano dla znoszenia z wagonów przywiezionej brukwi. Praca na tym komando trwała kilka dni. Tamtejsze więźniarki w skrycie prowadzonej z nami rozmowie, nieustannie dopytywały się o koniec tej męki i czy damy radę przetrzymać. Dosłownie do dziś pamiętam, jak wymawiały pytająco dwa słowa "wytrzymamy - przetrzymamy?".

Mając taką okazję, pracując przy dużej ilości brukwi, zaczęliśmy organizować przerzuty kawałków brukwi na blok macierzysty, dla poratowania głodujących kolegów.

Pewnego dnia na naszą grupę, powracający z tego komanda na blok, oczekiwał przy drzwiach Blokführer, jak mówiliśmy na niego, Ślązak, który mówił dość dobrze po polsku z akcentem śląskim. W otoczeniu sztubowych i küchenkapo dokonano u nas szczegółowej osobistej rewizji. Znalezione kawałki brukwi ułożono przed nami i każdemu policzono, ile miał kawałków. Küchekapo wykrzykiwał, wskazując na nas ogółowi kolegów, że my jesteśmy złodziejami i ich okradamy. Całość obozu stała nieruchomo w milczeniu, wiadomo było z doświadczenia, że po takim przemówieniu, Küchekapo obmyśli dla nas odpowiednią karę. Ja miałem 22 kawałki brukwi, które przeniosłem w nogawicach pasiaka. Zainkasowałem więc 22 uderzenia bykowcem na goły pośladek od dwóch dobrze nażartych sztubowych. Tak skończyła się moja jedyna organizacja dodatkowych racji żywnościowych, w postaci wspomnianych kawałków brukwi.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.3.4.

Na górnej części budynku mieszkali więźniowe komanda Gablonz. Jedno okno zakratowane, a były wtedy zakratowane wszystkie. Zdjęcie wykonane w 1978 roku

Foto archiwum Gross-Rosen 3.1.1.13

Czesław Reszko
P-81474

PRZEŻYŁEM KOMANDO GABLONZ

Przekazany z obozu powstańczego w Pruszkowie w dniu 17 września 1944 roku do obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau jako więzień numer 196994, a następnie 22 września tegoż roku do kamieniołomów w Mauthausen. Tam zostałem więźniem numer 105802,skąd po 32 dniach ciężkiej pracy w tychże kamieniołomach zostałem przesłany w dniu 28 października do następnego obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, również na kamieniołomy.

Podczas pobytu w Gross-Rosen byłem więźniem numer 81474.Zostałem jako fachowiec skierowany do fabryki na komando Gablonz. Pierwsza grupa w ilości 500 więźniów dotarła do komanda Gablonz około 15.XI.1944 r. Fabryka wprawdzie istniała ale brak maszyn w niektórych specjalnościach zawodowych spowodował podział więźniów na kilka grup. Część fachowców jak tokarze, frezerzy przystąpili bodajże zaraz do pracy, część zaś czekała na maszyny które były w drodze. Praca w fabryce rozpoczynała się o 6 rano dla zmiany dziennej, a idąc do fabryki mijaliśmy zmianę nocną wracającą z fabryki do obozu.

Wyżywienie stanowiła zwykła czarna kawa na śniadanie, zaś na obiad, który był połączony z kolacją zupa z liści buraka pastewnego z kawałkami zepsutych zgniłych kartofli oraz pajdka chleba z niewielką kostką margaryny i łyżką marmelady buraczanej. Kiedy już całkowicie wyposażono fabrykę we wszystkie niezbędne maszyny i uruchomiono produkcję okazało się, że nie wszyscy fachowcy byli fachowcami, co powodowało ciągłe bicia i maltretowania więźniów na skutek nieumiejętności wykonania pracy. Ja pracowałem jako szlifierz precyzyjny z prawdziwego zdarzenia opiekując się dwoma innymi więźniami, którzy w ogóle maszyny widzieli w życiu po raz pierwszy i niepotrafili nic zrobić. Pomoc moja polegała na nauce i ustawieniu maszyny, która automatycznie pracowała sama. Ciągłe chodzenie i doradzanie stwarzało podejrzenie u kapów o zmawianiu się czy też unikanie pracy za co kilkakrotnie dostawałem kijem lub gumą po plecach czy głowie. W obronie mej stanął majster Niemiec, który widząc starannie wykonaną pracę polecił mi w dalszym ciągu ppiekę nad pozostałymi dwoma więźniami uprzedzając kapów- że to jest konieczne i ja muszę tak chodzić, lecz w dalszym ciągu byłem pod ich stałymi szturchańcami już nie w fabryce ale na bloku.Pewnego dnia po wykonaniu bardzo dokładnych i nadzwyczaj pilnie potrzebnych części zostałem przez majstra wprowadzony do kontroli niemieckiej pomimo napisu na drzwiach, że psom i więźniom wejście wzbronione. Podczas kontrolowania mej pracy przez kontrolę niemiecką, która nie zauważyła, że za mną wszedł kapo, zostałem przez niego wyciągnięty z pokoju i dotkliwie pobity. Przy pomocy kolegów-współwięźniów byłem doprowadzony na blok i umieszczony w rewirze. Było tam 8 prycz piętrowych. Przebywali już wcześniej pobici lub chorzy na wodnicę i gruźlicę. Tych po kilku dniach usypiano zastrzykami dawanymi przez przejezdnego lekarza wojskowego. Będąc na rewirze byłem świadkiem, jak po 3 lub 4 minutach umierali

więźniowie przyprowadzani z gabinetu lekarza, po otrzymaniu śmiertelnego zastrzyku.

Ja zaprzyjaźniłem się z sanitariuszem Adamem Grzęskim, który otoczył mnie swoją opieką robiąc mi po nocach opatrunki lekami wykradanymi lekarzowi. Jak się okazało później też nie był lekarzem a tylko felczerem i sanitariusz wiedział więcej od lekarza. Na rewirze tym przebywałem około 10 dni po czym ponowne starania majstra spowodowały, że wróciłem wynędzniały i chory do fabryki.

Pamiętam z rewiru Romana Omylskiego - pracownika Polskich Zakładów Optycznych w Warszawie, który zmarł na rewirze w pierwszych dniach grudnia 1944 roku. Przybył on do Gablonz transportem z Mauthausen wraz ze mną i miał numer zaczynający się na 814...?

Majster chcąc wynagrodzić mi zaistniałą z jego przyczyny chorobę i wzmocnić fizycznie kilkakrotnie dzielił się ze mną swym śniadaniem, wkładając mi je do szafki narzędziowej i niezależnie pd tego za krzywdę jaka mnie spotkała otrzymałem na bloku przez okres 3 dni dodatkową miskę zupy. Tak doczekałem się świąt Bożego Narodzenia. Ustawiono na bloku choinkę ubraną kartoflami, marchewką, brukwią oraz skrawkami kiełbasy, którą zwykle jadali Niemcy i kapowie. W dzień wigilijny na blok wszedł Blockführer, Ślązak, mówiący po Polsku, rozkazał śpiewać najpierw marsza zaczynającego się od słów "Wir sind arbeiter von Lager Rajnowitz darum ran alle mann", a następnie kolędy Bóg się Rodzi, Cicha Noc i Wśród Nocnej Ciszy. Po bodajże godzinnym kolędowaniu polecił wydać więźniom papierosy, były to pudełeczka po 12 szt., następnie zezwolił palić na bloku przy stołach. Podczas tego palenia jedni płakali, drudzy wspominali swój dom, swych bliskich oraz kolację wigilijną na wolności, którą w gronie rodzinnym spożywali. W drugi dzień świąt a był to poniedziałek dokonano odkrycia wszy wśród więźniów, zawieszono na bloku olbrzymie lampy i kazano każdemu przeszukiwać odzież, szukać i tępić wszy. Gdy ten zabieg, a powtarzano go kilkakrotnie bez powodzenia, został rzekomo zakończony i miało już nie być wszy Blockführer zarządził kontrolne odwszawianie obiecując, że za każdą znalezioną wszę daje 1 papierosa. Wniesiono na blok skrzynkę papierosów, rozdano wszystkim próbówki na wszy, a kapów uzbrojono w kije i gumy aby przymusili wszystkich do kontrolnego szukania. Więźniowie, którzy znaleźli małe ilości najwyżej do 10 szt otrzymali papierosy, natomiast ci którzy przechytrzyli sprawę, a kupowali od innych wszy na kredyt płacąc po 1/2 papierosa i dostarczyli 30 lub więcej sztuk zostali przez Blockführera uznani za chodowców wszy i otrzymali po 25 batów takich, że ledwo doczołgali się do swych prycz.

Nie ominięto także sanitariusza i lekarza, którzy także otrzymali po 25 batów za wszy na rewirze. Następnie wniesiono na blok dużą wannę, wsypano proszek, wlano do pełna zimnej wody i na rozkaz Blockführera każdy musiał, a dopilnowali tego kapowie, zamaczać w wannie swe ubranie, koc i bieliznę, a następnie przy otwartych oknach przy padającym śniegu i mrozie spać oraz wysuszyć swe ubranie przed nadchodzącym dniem pracy. W mokrych ubraniach przebiegli pracujący w fabryce i tam się wysuszyli, gdyż było ciepło,zaś ci którzy pracowali na drugą zmianę stracili conajmniej pół zdrowia. Codzienny wymarsz do pracy lub przyjście było nagradzane przy wejściu kijem lub gumą przez pomocnika kapy.Wszyscy bez wyjątku kapowie byli to niemieccy wyrokowcy odsiadujący kary więzienia, których z więzień przesłano do obozów na funkcje. W tymże młynie obozowym, w którym niewiadomo było co dobre a co złe przetrzymałem do Świąt Wielkanocnych. Największym świętem u Niemców był

Wielki Piątek, w którym to dniu niepracowano, a pożywienie pod okiem kapo kuchennego przygotowywali sami więźniowie i w tym dniu nie obeszło się bez bicia szczególnie za kradzież kartofli czy jarzyn na kuchni. Nadszedł wreszcie miesiąc maj. W Czechosłowacji wybuchło powstanie, Niemców wojskowych stopniowo wymieniano na starszych wiekiem, którzy byli mniej groźni, gdyż byli wermachtowcami a nie gestapowcami. Od nich to otrzymywaliśmy ciche wiadomości o klęsce wojennej i zbliżaniu się końca wojny.

Nadszedł wreszcie dzień 7 maja 1945 r. przed wieczorem wszedł na blok Blockführer i oświadczył wszystkim, że o świcie nastąpi wymarsz, wszyscy mają zachować spokój. Dnia 8 maja 1945 r. o świcie nastąpił wymarsz więźniów w nieznane. Tych co nie mogli opuścić rewiru mieli być prawdopodobnie wysadzeni łącznie z fabryką. W dniu tym rozdano maszerującym chleb na drogę, resztę zaś chleba umieszczono na 2 wózkach, które pchali i ciągnęli więźniowie. Maszerowaliśmy rzędami po 5-ciu wymieniając się co jakiś czas z pchającymi wózki. Podczas drogi kapowie za zgodą eskortujących żołnierzy uciekali bezkarnie gdzie się dało. Kolumna prowadzona przez Lagerführera dotarła po południu do dużej barykady wzniesionej w poprzek szosy. Kolumny zatrzymano, zaś Lagerführer przywołując do siebie powstańców czeskich będących na barykadzie wspaniałomyślnie przekazał wszystkich żyjących jeszcze więźniów i udał się w drogę powrotną w kierunku obozu. Wyruszyły też samochody ciężarowe i zabrały z obozu pozostałych chorych tam pozostawionych. Wówczas dowiedzieliśmy się, że jesteśmy wolni, że wojna się zakończyła. Umieszczono nas w miejscowości Żelezny Brod w szpitalu po uprzednim wykąpaniu, przebraniu w nową bieliznę i mundury niemieckie. Wszyscy byli badani przez lekarzy, opatrywani i umieszczani na salach szpitalnych. Mieszkańcy Żeleznego Broda dokarmiali wszystkich czym mogli, ofiarowywali wszystko co było w ich możliwościach. Tak zakończyły się może przeżycia w obozach koncentracyjnych i w komando Gablonz.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.3.11.

Część więźniów dowieziono wozami. Poczęstunek skromny, ale serdeczny od mieszkańców i pogawędka różnojęzyczna.

Foto archiwum Gross-Rosen 3.1.1.6.

Tadeusz Hercog
P - 81417

Z MAUTHAUSEN DO GABLONZ

Z chwilą wybuchu Powstania Warszawskiego byłem uczestnikiem i walczyłem w plutonie prowadzonym przez dowódcę porucznika Sępa na odcinku Tagówek. Po upadku działań w tym rejonie przedostałem się przez cmentarz Bródnowski do walczących jeszcze powstańców przy bramie cmentarnej przy ul. Odrowąża. Wśród walczących pamiętam nazwisko Bartkiewicz. Po upadku tego odcinka z grupą powstańców nocą przedostajemy się do Wisły na wysokości Śliwic w celu przedostania się do walczącej jeszcze Warszawy. Zostaję ranny, a wraz ze mną jeszcze jeden towarzysz nidoli, który udzielił mi pomocy aż do czasu powiadomienia mojego szwagra Jana Plesiewicza, który był członkiem AL i zamieszkiwaliśmy razem w tym samym lokalu przy ul. Sądowelskiej 15.

Podczas blokady rejonu zostaliśmy pojmani i wywiezieni do obozu koncentracyjnego "Mauthausen" 2 września 1944 roku i tak zostałem więźniem nr 93459. Na komandzie "Ebensse" - Kamieniołomy oraz praca niewolnicza na torach kolejowych, gdzie przewożono nas specjalnym wagonem. Na tym komandzie zostałem przez kapo bestialsko pobity, co spowodowało, że odnowiła mi się kontuzja nabyta podczas Powstania Warszawskiego. Dostałem krwotoku, uszkodzenia żeber i narządów słuchu. Źle słyszałem i to powodowało dodatkowe dalsze prześladowania w różne sposoby. Szwagier mój Jan Plesiewicz lat 20 więzień nr 94079 na tym samym komandzie został zamordowany i spalony w krematorium.

Podczas spania w barakach nocą SS-mani wpadali do nas wyczytując numery więźniów i już tacy nie wracali. Którejś nowy w grupie więźniów byłem też i ja, ale tę grupę przetransportowano do Mauthausen. Nosiliśmy kamienie bici pejczem i spaliśmy na betonie. Z tego obozu pamiętam Ryszarda Pilichowskiego i dyrektora kina "Syrena" z Pragi.

Pod koniec października 1944 roku przetransportowano grupę więźniów, w której byłem, do obozu koncentracyjnego "Gross-Rosen" kamieniołomy, a pod koniec tego roku wysłano transport do komanda "Gablonz", w którym ja też byłem. Nikt nie zrozumie tych, którzy bezpośrednio nie przeżywali katowni obozu koncentracyjnego i spuchniętego ciała z głodu. Pamiętam jak kapo wybrał do niesienia w kotłach kartofli w mundurach do kantyny stołówki SS-manów czterech więźniów, wśród nich byłem też ja. Niosąc ziemniaki, jak się udało, to można było sprytnie łyknąć, ale nie można było ruszać ustami, bo wtedy z kapo miało się do czynienia. Zapach ziemniaka zmusił mnie do ryzyka, ale nie udało się, gdyż gorący ziemniak stanął w przełyku i zacząłem się dusić. Kapo wtedy skopał mnie i bił pejczem, że krew przeszła przez pasiaki, ale ziemniak przeszedł i podczas tych uderzeń więźniowie skorzystali z kilku ziemniaków. Słuch mój bardziej pogorszył się, gdy zostałem kopnięty w ucho, a od zewnątrz poszła krew.

Któregoś dnia nie słyszałem pobudki na apel i spóźniłem się, za to dostałem 25 uderzeń pejczem /więźniowie liczyli/. Byłem już wykończony, nogi były tak popuchnięte, że jak nacisnęło się palcem, to tak jak w ciasto, a odciśnięte miejsce długo nie wyrównywało się. Podczas pracy padłem wykończony z głodu i już nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Przynieśli mnie na noszach współtowarzysze, a wśród nich niósł mnie Eligiusz Grodzki /Halek/ więzień nr 91407, mój numer był wtedy 81417. Leżałem na rewirze obozowym. Pomagali mi wtedy więźniowie Władysław Lech, Patoleta, Stanisław Salamon nr 84865, Zdzisław Makowski więzień nr 81420.

Z rewiru trzeba było szybko uciekać, bo chorych wykańczali. Wymienieni więźniowie brali udział w obowzowym ruchu oporu razem ze mną po nawiązaniu współpracy przez Władysława Lecha z czechosłowacką partyzantką. Więzień Lech z Warszawy ul. Wileńska zmarł na rewirze, ale przed tym przekazał mi wszystkie dane do działania w konspiracji i obrony z chwilą zbliżania frontu. Ja i dwóch radzieckich więźniów braliśmy udział w jego pochowaniu, wrzucenie do dołu wspólnego z innymi więźniami w pobliskim lasku w okolicy obozu.

8 maja 1945 roku wyprowadzono zdolnych więźniów do marszu w transport ewakuacyjny. Kolumna podążała w kierunku Tanvaldu. W odwrotną stronę ciągnęły wojska hitlerowskie. W pewnym momencie podjechało auto wojskowe z oficerami i kazali Lageeführerowi zawrócić transport. On też tak uczynił. Więźniowie teraz podążali w kierunku obozu. Obok nich jechał samochód wojskowy. Nikt z więźniów nie pamiętał treści rozmowy oficerów niemieckich z komendantem, ale wszyscy mieli jak najgorsze przeczucia odnośnie swojego losu.

Po jakimś czasie auto odjechało, gdyż tempo marszu więźniów było zbyt małe dla samochodu. Po jakimś czasie, gdy samochód odjechał daleko - komendant dał rozkaz do zmiany kierunku marszu znowu na kierunek Tanvaldu.

Gdy kolumna więźniów dotarła do przedmieścia Tanvaldu czekali już na nas partyzanci czechosłowaccy. Komendant obozu przeliczył wszystkich więźniów, zameldował stan obozu i przekazując więźniów w ręce powstańców - ogłosił wolność. W tym ogólnym szale radości grupa więźniów, a wśród nich Eligiusz Grodzki, Antoni Pałetka, Stanisław Salamon i ja - wszyscy z Warszawy, ale byli i inni otoczyliśmy komendanta dziękując mu za ocalenie i zadeklarowaliśmy mu pomoc i opiekę. On jednak odpowiedział, że jest żołnierzem i poszedł ku swemu dalszemu losowi.

Ocalałych więźniów przekazano do Czechosłowackiego Czerwonego Krzyża. Słabych odstawiono do szpitala w Żeleznym Brodzie, wśród nich byłem ja, Grodzki, Makowski i po paru tygodniach z wymienionymi wróciłem do kraju.

Nie wszyscy, którzy doczekali wolności wrócili do swych rodzin, byli tacy, których nie można było już uratować.

Wolność odzyskaliśmy 8 maja 1945 r.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.3.13.

SPIS WIEŹNIOW KOMANDO GABLONZ WEDŁUG NIEPEŁNYCH DANYCH ARCHIWUM ŚRODOWISKA

Lp.	Nazwisko i imię	Data urodzenia	Narodowość	Nr obozowy więźnia	U w a g i
1	2	3	4	5	6
1	Abramczyk Zdzisław /Zdenek/		P		zm. w Żel.Brod. maj 45
2	"Andriej"		R		
3	Badziorny		P		
4	Baranowski Jan		P		
5	Baranowski Stanisław	1910 r.	P	65143	
6	Baranowski Zygmunt		P		zm. w Żel.Brod. maj 45
7	Barnat Vlastimil		T	8013	pisarz obozowy
8	Biliński Jan		P		
9	Bogacki Teofil	28.10.1907	P		
10	Borowiec Stanisław	26.03.1902	P	85136	
11	Brudzyński Władysław	14.06.1908	P	52913	Reichenau
12	Brust Witold		P		tłumacz obozowy
13	Budzyński		P	59...	zm. w obozie
14	Cak Józef /Ksiądz/		P	85134	zm. w obozie maj 45 r.
15	Ceglarski Zygmunt		P		
16	Cieśliński Franciszek		P		zm. w Jablonec 22.06.45
17	Czarnecki /ojciec/		P	59...	zma. w obozie 30.11.44
18	Czarnecki Henryk /syn/		P	59...	
19	Czubiak Stefan		P	59...	zm. w Żel.Brod. maj 45
20	Czyrycki Andrzej	1903 r.	P	2305	zm. w Jablonec 7.09.45
21	Dadak Jan w ob.Kornatowski	21.4.1902	P	85119	
22	Dębski Julian		P		zm. w obozie
23	Domin Jan	22.01.1919	P	91343	
24	Drogosiewicz Zdzisław		P		
25	Dzierżanowski Leon	27.03.1903	P	59701	Reichenau
26	Dzikowski Józef		P	91551	
27	Gabryś Tadeusz		P		zm. w obozie
28	Gadziński Władysław		P	58793	
29	Garbacki Ryszard	3.04.1928	P	40644	
30	Gibert Karol	9.11.1922	P	84520	
31	Gowaczewski Andrzej		P		zm. w Żel.Brod. maj 49r.
32	Górka Roman		P	81...	
33	Grodzki Eligiusz	6.02.1925	P	81407	
34	Grząski Adam	19.11.1920	P	210	sanitariusz

1	2	3	4	5	6
35	Grzędziel Kurt	19.11.1920	P	84999	
36	Grzybowski Stanisław		P		
37	Gurgul Kazimierz		P	89129	
38	Heinz		D		Blockaltester
39	Herzog Tadeusz	20.03.1923	P	81417	
40	Hopkowicz Jan		P	85154	zm. w obozie 14.04.1945
41	Hopkowicz Ludwik	4.05.1914	P	85155	
42	Hopkowicz Michał		P	85156	zm. w obozie 23.04.1945
43	Hyla Marian		P		
44	Jabłoński Aleksander		P	59381	zm. w obozie
45	Janiszewski Władysław	1.08.1904	P	59661	
46	Jankowiak Bolesław		P	89759	
47	Jankowski Stanisław		P		
48	Janocha Henryk		P	59...	zm. w obozie II.45
49	Jopek Władysław		P		Reichenau
50	Jastrzębski Czesław	15.07.1929	P	59730	Reichenau
51	Jastrzębski Kazimierz	21.12.1923	P	85072	w obozie Ostrowski Zbigniew
52	"Jaszka"		R		kapo
53	Jawuła Jan		P		
54	Kaczmarczyk Eryk Hanusek		P		
55	Kamiński Zdzisław	1922	P	85001	
56	Kantner Erhard				
57	Karpiński Zenon	23.03.1928	P	59640	
58	Kazimierczak Stefan	8.09.1910	P	74888	
59	Kądzielowski Jerzy	18.12.1925	P	85115	
60	Klindic Franjo		Jug.		
61	"Kola"		R		
62	Kolar Otto				zm. w obozie XII.44 r.
63	Koldisz Bolesław		P		zm. w Óbblonec 29.05.45
64	Konopka /ksiądz/		P	85178	
65	Konopka Marian/ojciec/		P	38474	zm. w obozie III.45
66	Konopka Stefan /syn/	14.04.1927	P	38745	
67	Konwerski Marian		P		zm. w Żel.Brod. maj 45 r.
68	Korba Stanisław	1917	P	85051	
69	Kornaus Władysław		P		zm. w obozie
70	Kowalczuk Jerzy	28.06.1926	P	59552	Reichenau
71	Kowalski Antoni		P	85928	
72	Kozioł Michał	16.09.1902	P	85135	

1	2	3	4	5	6
73	Kozłow		R		
74	Krajewski Kazimierz	4.03.1915	P	7066	
75	Krawczuk Orest		P	85120	
76	Krawczyński Jerzy	12.09.1927	P	81469	
77	Krawczyński Władysław	28.02.1923	P	59715	
78	Krentzel Edward	13.10.1914	P	84971	
79	Kruczkowski Józef		P		zm. w obozie
80	Kruszczyński Marian	8.09.1912	P	58409	Reichenau zm.11.04.1945
81	Krzętowski Mieczysław	2.01.1922	P	84560	
82	Kuczewski Stanisław	7.05.1927	P	68146	w obozie Kwiatkowski Stanisław
83	"Küchekapo"		D		szef kuchni
84	Laskowski Berbard	15.04.1921	P	63308	
85	Ledóchowski Mieczysław		P	85117	
86	Lech Władysław	1901	P		zm. w obozie IV.45
87	Lenert Roland		P		
88	Lewandowski Tadeusz		P		
89	Łatkowski Zdzisław		P	80938	zm. w obozie III.45
90	Łuczyski Mieczysław		P		zm. w Żel.Brod. V.45
91	Łukaszewski Wacław	21.09.1907	P	59...	
92	Madej Stanisław		P		zm. w obozie marzec 45
93	Makowski Zdzisław	1.02.1924	P	81420	
94	Maksym Władysław		P		
95	Maliszewski Władysław	23.03.1896	P	59688	
96	Małetka Antoni	22.11.1920	P	81409	
97	Marciniak Henryk /syn/	31.07.1929	P	40289	
98	Marciniak Stanisław /pjciec/	1906	P	40266	
99	Maro Gwidon	12.09.1907	P	65468	
100	Marscher Max				zm. w Jablonec maj 45
101	Martyniak Ryszard		P		pomoc Küchekapo
102	Maszłelarz		P		
103	Matusz Julian	18.12.1904	P	59744	
104	Matuszewski Czesław	6.10.1918	P	80940	
105	Mazek Mieczysław		P		
106	Maziarski Józef	12.12.1893	P		zm. w obozie maczec 45
107	Mencfeldowski		P		zm. w obozie
108	Mirecki Wojciech		P		zm. w obozie
109	Misztal Stefan		P		zm. w Żel.Brod. maj 45

1	2	3	4	5	6
110	Mleczko Zbigniew	25.9.1923	P	85132	
111	Motel Wojciech		P	61885	zm. w Jablonec maj 45
112	Nowaczkiewicz Eugeniusz		P		lekarz rewiru
113	Ołubec Zygmunt		P		zm. w obozie kwiecień 45
114	Omylski Roman		P	814..	zm. w obozie grudzień 44
115	Paługa Paweł		R		
116	Parszewski Jan	8.10.1889	P	89795	
117	Pasiak Stanisław		P		Reichenau
118	Pasterski Ignacy		P		zm. w Żel.Brod. maj 45
119	Patoleta Stanisław		P		
120	"Pawło"		R		
121	Pękała Zygmunt		P		zm. w obozie 2.5.45
122	Piechna Artur /syn/	16.07.1922	P	59582	
123	Piechna Stanisław /ojciec/	1899	P	59579	zm. w Jablonec maj 45
124	Pietrzyński Jan		P	40625	
125	Pilarski Zbigniew	6.01.1925	P	59546	
126	Popiński Jan	31.01.1914	P	81412	
127	Rahaus		P		
128	Rajkowski Józef	15.02.1910	P		
129	Reszko Czesław	27.06.1921	P	81474	
130	Rodziewicz		P		
131	Rojek Władysław		P		Reichenau
132	Ruciński Wojciech Roman	3.04.1927	P	59536	
133	Rutkowski Jan		P	809..	zm. w obozie
134	Ruszkowski Eugeniusz	2.12.1910	P	2808	
135	Rutka		P		zm. w obozie
136	Salamon Stanisław	12.05.1922	P	84865	
137	Sanakiewicz Zbigniew	17.12.1924	P		
138	"Sasza"		R		sztubowy
139	Scholc Józef		P	59774	zm. w obozie luty 45
140	Senkowski Ryszard	24.01.1927	P	5875	
141	Sitko Jerzy	19.06.1928	P	59723	
142	Siwiński Felike	14.05.1911	P	58402	
143	Smolarek Antoni	5.07.1905	P	81413	zm. w obozie 15.2.45
144	Stachura Jan		P		
146	Starzyński Kazimierz	6.09.1913	P	84868	
147	Stefaniak Olimpiusz		P		zm. w Jablonec 29.V.45
148	Stopka Jerzy		P		Reichenau
149	Strzelecki Tadeusz		P		zm. w obozie

1	2	3	4	5	6
150	Swarzyński Dionizy		P		
151	Święcicki Jan	5.04.1884	P	81...	
152	Tabaka Bogumił		P		Raichenau
153	Tkaczyk Franciszek		P		
154	Tomala Włodzimierz				Tomalda Vladimir zm. w Żel.Brod.V.45
155	Tuszyński Marian		P		
156	Twardowski		P		lekarz rewiru
157	Uchman Henryk	15.08.1913	P	59759	Reichenau
158	Uznański Tadeusz		P		Lagerältester, Reichenau
159	Wacławek Stanisław				zm. w Żel.Brod. maj 45
160	"Walerek z Żytniej"		P		zm. w obozie
161	Wąsikiewicz Ryszard	5.10.1912	P	59768	
162	Wdowczyński Jan	18.05.1922	P	59695	
163	Widzowski Jan				zm. Żel.Brod. maj 45
164	Więckowski Ryszard	1925	P	814..	
165	Woźniak Ignacy		P		zm. w Żel.Brod. maj 45
166	Wrotek Stanisław		P		
167	Wyszyński Bolesław	18.10.1908	P	59559	Reichenau
168	Zalega Franciszek	6.02.1907	P	59709	
169	Zawiejski /Zaweszki/Jerzy		P		zm. w Żel.Brod. maj 45
170			P	85129	zm. w Żel.Brod. maj 45
171	Banaś Jerzy		P		
172	Klementowicz Józef		P		
173	Klementowicz Rafał		P		
174	Koper		R		autor obrazów ściennych
175	Masztalerz		P		
176	Ptak Kazimierz	3.06.1923	P	8111	
177	Siwak Ryszard		P		
178	Ziejko Antoni		P		
179	Bielecki Stefan		P	80787	
180	Wiza Henryk		P	59454	

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.1.24.

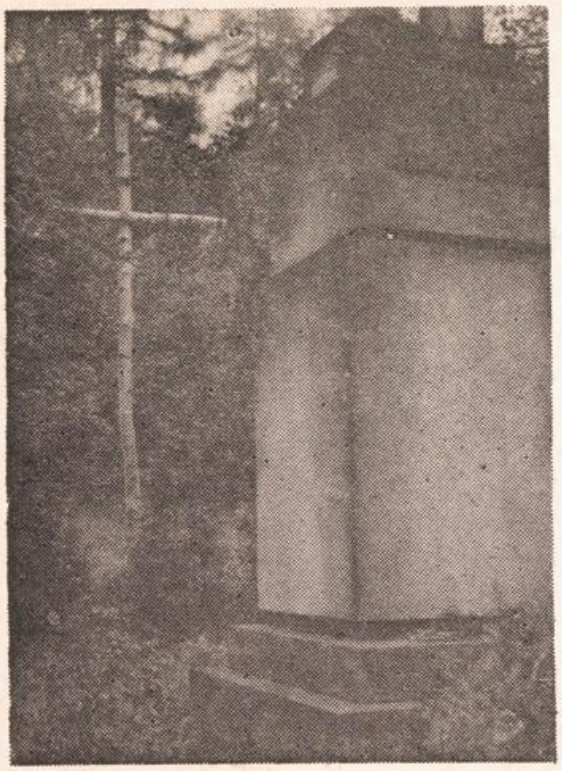

Bílý kříž

Pojď jen, pojď jen blíž a pohleď sem pod bílý kříž:
smutně se na tebe hrob dívá. Víš, kolik bolesti,
co smutku ten rov skrývá?
Pojď jen a přistup blíž — sem pod bílý kříž —
snad se tady zamyslíš. Co hrůz a běd viděl les,
když tam ještě v dálce kdes
bylo slyšet rány z děl.
To vysvobodit je bratr spěl.
Pojď jen, pojď jen blíž a skloň hlavu svoji níž.
Jak asi umíral ten u kůlu přivázaný,
botami esesmannů zkrvavený!
Snad nyní víš, proč přišel ses poklonit
pod bílý kříž.
Těm zde nemá kdo kytičku na hrob dát.
Maminka jejich může jen v dáli vzpomínat.
Proto my sami musíme stále dbát —
alespoň jednou za rok kytičku jim na hrob dát.
Kytičku třeba jen polního kvítí.
To naše vzpomínka a vděčnost jim svítí.
A vzpomínka nechť se nese výš,
až tam, kde trnovou korunu
nese bílý kříž.

Ten wiersz nieznanego autora umieszczony w Izbie Pamięci Narodowej miejscowej szkoły w Jablonec nawiązuje do Krzyża brzozowego z koroną cierniową z drutu kolczastego na zbiorowym grobowcu więźniów Komanda Gablonz ekshumowanych po wojnie z rozrzuconych mogił w pobliskim lesie za barakiem obozowym.

Nr archiwum Gross-Rosen

3.1.2.16

BIAŁY KRZYŻ

Podejdź, podejdź bliżej i spójrz pod biały krzyż:
smutnie patrzy na ciebie grób. Wiesz, ile bólu, ile smutku
ten grób ukrywa?
Podejdź bliżej - tu pod biały krzyż -
może się nad tym zamyślisz. Ile okropności i biedy widział las,
gdy tam jeszcze gdzieś w oddali
było słychać strzały z dział.
To spieszył je wyzwolić brat.
Podejdź, podejdź bliżej i nisko się pokłoń.
Jak może umierał ten przywiązany do pala
skrwawiony butami eesesmanów!
Chyba teraz wiesz, dlaczego przyszedłeś pokłonić się
pod biały krzyż.
Im nie ma kto położyć wiązanki na grobie.
Ich mama może tylko z oddali wspominać.
Dlatego my sami musimy wciąż dbać -
przynajmniej raz w roku położyć im wiązankę na grób.
Chociażby wiązankę z polnych kwiatów.
To nasze wspomnienie i wdzięczność im przyświeca.
A wspomnienie niech się wznosi wyżej,
aż tam, gdzie cierniową koronę
niesie biały krzyż.

/Tłumaczyła: Pani Holubova
z Ośrodka Kultury Czechosłowackiej
w Warszawie/

PROTOKOŁ POBRANIA ZIEMI Z TERENU b.KOMAND GROSS-ROSEN

W dniu 7.10.1966 godz. 13[05] podczas pobytu delegacji polskich b.więźniów politycznych hitlerowskiego obozu Rogoźnica-Gross Rosen, poprzedzona minutą ciszy pobrana została do urny ziemia z miejsca kaźni więźniów filii tego obozu "Jablonec-Zaječice" w Jablonec n/N. Rynovice.....

Ziemia ta zostanie złożona we wspólnej urnie komand Gross Rosen w Mauzoleum Walki i Męczeństwa w Aleii Szucha w Warszawie w Święto Zmarłych 1 listopada 1966 r., jako wyraz wiecznej pamięci dla ofiar zbrodni hitlerowskich, dokonanych na terenie tego komanda.

W uroczystości pobrania prochów ziemi uczestniczyli ze strony polskiej następujący członkowie Klubu B.Więźniów Gross-Rosen przy Zarządzie Okręgu Warszawskiego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację:

1. Zenon Karpiński .....
2. Leon Lipiński .....
3. Zdzisław Makowski .....
4. Ignacy Miętus .....
5. Mieczysław Mołdawa.....
6. Artur Piechna .....
7. Aleksander Sójka .....
8. Henryk Uchman .....
9. Antoni Wojnarowicz.....
10. Józef Zommer .....

Liberecké automobilové závody
národní podnik
Jablonec nad Nisou
— Zvláštní oddělení —

Jablonec ...7..październik 1966 r.
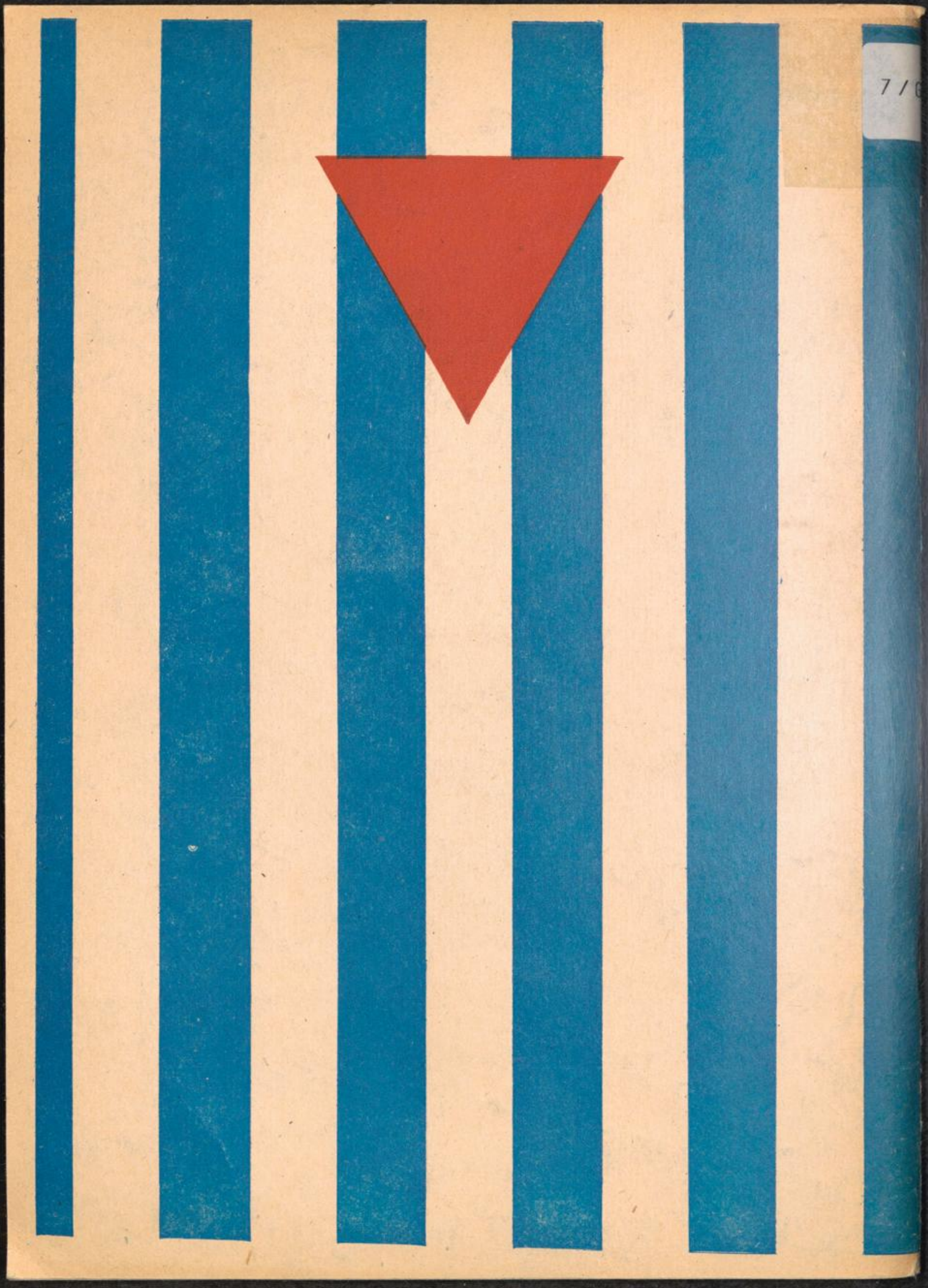
Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.2.1.